

БЕЛОРУССКИЙ ИНСТИТУТ ПРАВОВЕДЕНИЯ

О. Э. МОРОЗОВА

**ХРЕСТОМАТИЯ
ПО ПОЛЬСКОЙ
ЛИТЕРАТУРЕ**

Минск
2005

БЕЛОРУССКИЙ ИНСТИТУТ ПРАВОВЕДЕНИЯ

О. Э. МОРОЗОВА

**ХРЕСТОМАТИЯ
ПО ПОЛЬСКОЙ
ЛИТЕРАТУРЕ**

Учебное пособие

Минск
ООО «БИП-С Плюс»
2005

Рекомендовано к изданию редакционно-издательским советом
Белорусского института правоведения

Морозова О.Э.

Хрестоматия по польской литературе. Учебное пособие /
О.Э. Морозова. – Мн.: БИП-С Плюс, 2005. – 114 с.

Пособие предназначено для студентов высших учебных заведений,
изучающих польский язык в качестве второй специальности, а также для
широкого круга читателей, интересующихся польской литературой.

Содержит произведения и отрывки из произведений классиков
польской литературы разных эпох.

SPIS TREŚCI

BOGURODZICA	4
Jan Kochanowski	5
NA ZDROWIE	6
Adam Mickiewicz SAD	7
TRZECH BUDRYSÓW	8
STEPY AKERMANSKIE	10
BAJDARY	11
ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA	12
Józef Ignacy Kraszewski DZIAD I BABA	13
Leonard Podkorski-Okolów O, TY DALEKA	16
Wincenty Pol PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ	17
Juliusz Słowacki BALLADYNA	18
ANIOŁ ZIEMI SREBRNY ŚPIEW	31
ZA ANIOŁEM	31
NIEBO	33
ROZMOWA Z ANIOŁEM	33
Teofil Lenartowicz ZŁOTY KUBEK	34
Władysław Syrokomla LALKA	36
KRADZIONE	38
KRUK	41
Bronisława Ostrowska NOC MIEJSKA	42
DZIEWANNA	42
NIEŚMIERTELNIKI	43
Maria Pawlikowska - Jasnorzewska	44
Tadeusz Kubiak ŚNIEG	47
Dorota Gellner ŚNIEŻNE DZIEWCZYŃKI	48
Stefan Żeromski SWAWOLNY DYZIO	49
PRAKTYKA	56
Józef Mackiewicz CHŁOP	60
Krzysztof Kamil Baczyński MATCE	62
«Niebo złote...»	63
Krystyna Kraheńska	64
Zofia Nałkowska GRANICA	66
Witold Gombrowicz OPĘTANI	77
Jerzy Szaniawski «MATKA»	88
Julian Tuwim ŚWIT W NOCY	99
POD GWIAZDAMI	100
RZEŻ BRZÓZ	101
BURZA	101
ZAWIEJA	102
Z WIERSZY OKRESU DOJRZAŁEGO	102
CIEMNE NIEBO	103
Wiech CAFE „POD MINOGA”	103
Bolesław Leśmian W MALINOWYM CHRUŚNIAKU	107
ODJAZD	107
Zbigniew Herbert SIÓDMY ANIOŁ	108
Miron Białoszewski CYKL „ULIZESY”	110
Konstanty Ildefons Gałczyński ROZMOWA LIRYCZNA	113

BOGURODZICA

Tekst z XII-XIII wieku.

Transkrypcja tekstu według najstarszego przekazu rękopiśmiennego, z 1407 roku. Opracował prof. dr hab. Antoni Czyż.

Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja,
U twego Syna Gospodzina matko zwolena, Maryja
Ziści nam, spuści nam.
Kyrie eleison.

Twego dzieła Krzciciela, Bożycze
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze,
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
A dać raczy, czegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrie eleison.

JAN KOCHANOWSKI

(1530 – 1584)

Urodził się w Sycynie koło Radomia, jako syn zamożnego szlachcica. Otrzymał staranne wychowanie, a kształcił się nie tylko w Akademii Krakowskiej, lecz i kilka lat studiował na uniwersytecie w Padwie. Zwiedził Włochy, Francję, Niderlandy, spędził jakiś czas w Królewcu. Po powrocie do kraju przebywał na dworze królewskim, wreszcie osiadł w rodzinnej wsi Czarnolas w powiecie zwolenskim.

Podczas pobytu we Włoszech znalazł się Kochanowski w centrum renesansowej kultury, rozprzestrzeniającej się stąd na inne kraje Europy.

Włoscy artyści i uczeni przypomnieli światu dzieła kultury starożytnej, przedchrześcijańskiej. Następowало jakby odrodzenie (po franc. *renaissance* – czyt.: renesans) kultury starożytnej. Termin odrodzenie lub renesans ma jednak o wiele szersze znaczenie, gdyż starożytne dzieła przypomniane w innych warunkach społeczno-politycznych dawać musiały zjawiska nowe. W tym czasie chwiać się zaczynał wsparty o Kościół i cesarstwo ustrój feudalny, dochodziły do głosu nowe warstwy społeczne, powstawał potężny ruch reformatorski. Na tym tle rozwinął się, sięgając po starożytne wzory, lecz przybierający nowoczesne formy, prąd kulturalny, zwany humanizmem (od łac. *humanus* – ludzki). Podczas gdy w średniowieczu główne zainteresowania były skupione wokół spraw wiary i religii, humaniści uwierzyli w potęgę ludzkiego umysłu.¹ W utworach swych poświęcali wiele miejsca sprawom działalności człowieka, jego uczuć, myśli i zwyczajów.

Twórczość Kochanowskiego przesiąknięta jest tymi nowymi ideami. Humanistyczny charakter mają, pisane w różnych okresach życia, *Pieśni*. Są to wiersze patriotyczne i obyczajowe, miłosne i refleksyjne (o treści filozoficznej). Jest wśród nich i *Pieśń świętojańska o Sobótce* wprowadzająca do poezji polskiej opis ludowych obyczajów. Dużą popularność zdobyły sobie drobne utwory poetyckie Kochanowskiego, nazwane *Fraszki*. Arcydziełem poezji lirycznej, a więc wyrażającej najgłębsze uczucia i przeżycia poety, są *Treny*, napisane po śmierci niespełna trzyletniej córki, Urszuli. Wyrazem jego patriotyzmu i zrozumienia sytuacji politycznej jest dramat *Odprawa posłów greckich*.

Poetycki język Kochanowskiego odznacza się wielkim bogactwem i subtelnością. Umiejętnie stosowane porównania i przenośnie,

urozmaicone słownictwo czynią z jego XVI-wiecznej polszczyzny język zdolny w najwierniejszy sposób wyrazić myśl i uczucia. Dlatego Kochanowski jest nazywany „ojcem poezji polskiej”.

NA ZDROWIE

Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie ¹
Widzi na jawie
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody
I dar urody,
Mieśca wysokie²,
Władze szerokie
Dobre są, ale –
Gdy zdrowie w cale³.
Gdzie nie masz siły,
I świat niemiły.
Klinocie drogi,
Mój dom ubogi
Oddany tobie
Ulubuj sobie!

¹ Prawie – prawdziwie.

² Mieśca wysokie – wysokie stanowiska, godności.

³ W cale – w całości, bez uszczerbku.

Adam Mickiewicz

SAD

Był sad. -
Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, płacząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniedzie otylego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na straży w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone.
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle
Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych mak zrzenicę mami.

W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krały słonecznik licem wielkiem, gorejącem
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.

TRZECH BUDRYSÓW

(Ballada litewska)

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,

Na dziedziniec przyzywa i rzece:

„Wyprowadźcie rumaki¹ i narządźcie kulbaki²,
A wyostrzcie i groty³, i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie

Trzy wyprawy na świata trzy strony:

Olgięd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz⁴ Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,

Niech litewskie prowadzą was bogi;

Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę,

Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biec musi za Olgiędem ku Rusi,

Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;

Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,

I u kupców tam dziengi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi⁵,

Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;

Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku

I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci;

Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,

Ale za to wybierze dobre szable, puklerze⁶,

I mnie stamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki miłsze Łaszki kochanki,

Wesolutkie jak młode koteczki,

Lice bielsze od mleka, z czarną rzesą powieka,

Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

„Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym
człowiekiem,

Łaskę sobie przywiozłem za żonę;

A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie

Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę”.

Taką dawszy przestrożę, błogosławił na drogę,

Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.

Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma,

Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

„Ej, to kubę, w tym kubie nowogrodzkie są ruble?”

— „Nie, mój ojcze, to Łaszka synowa”

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

„Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubę

bursztynu?”

– „Nie, mój ojcze, to Łaszka synowa”

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,

Burka pełna, zdobyczy tam wiele.

Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał

Prosić gości na trzecie wesele.

1. Przeczytaj balladę *Trzech Budrysów* z odpowiednią do nastroju wiersza intonacją.

2. Jaką przestrożę daje ojciec swoim synom?

3. W jaki sposób stary Budrys ocenia walory Polek?

4. Zilustruj jeden z fragmentów ballady.

5. Jakie środki artystyczne (tropy) uwypuklają piękno tej ballady?

Wypisz je.

¹ *Rumak* – piękny, chyży i silny koń.

² *Kulbaka* – wysokie siodło z szerokimi drewnianymi łękami.

³ *Grot* – strzała, pika, oszczep.

⁴ *Ksiądz* – tu: ksiąź.

⁵ *Cug* – zaprząg koni w dwie lub trzy pary odpowiednio dobrane.

⁶ *Puklerz* – pawęż, pancerz.

STEPY AKERMANSKIE¹

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy² burzanu³.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu⁴,
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam z dala błyszczą obłoki? tam jutrenka wschodzi?
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu⁵.

Stójmy!–jak cicho!–słyszę ciągnące żurawie,
Których by nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską pierśią dotyka się zioła.
W takiej ciszy!– tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy.– Jedźmy, nikt nie woła!

1. Wskaż poetycki barwny obraz rozległych stepów (opis).
2. Uwydatnij wyrażone w sonecie uczucie głębokiej miłości do Ojczyzny.
3. Napisz kilka zdań na temat uczuć poety wyrażonych w sonecie, używając wyrażen: *ogarnia go smutek*, *rodzi się tęsknota*, *doznaje goryczy*.
4. Wskaż przenośnie i epitety.
5. Naucz się na pamięć sonetu *Stepy Akermańskie*.

¹ *Stepy Akermańskie* ciągną się w kierunku południowo-zachodnim od Odessy. Nazwa ich pochodzi od miasta Akerman.

² *Ostrów* – wyspa.

³ *Burzan* – nazwa wysokiej rośliny stepowej rosnącej na Ukrainie i nad Morzem Czarnym.

⁴ *Kurhan* – mogiła gowskaz.

⁵ *Lampa Akermanu* – latarnia morska.

OPIS

Obok opowiadania jedna z głównych form podawanych w dziele literackim, polegająca na ukazaniu pozazdarzeniowych elementów świata przedstawionego, tła wydarzeń oraz wyglądu postaci.

BAJDARY¹

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głązy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem² mroku,
Jak w rozbitym zwierciadle, tak w mym spiekłym oku
Snują się mary³ lasów i dolin, i głązów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma; skaczę w morskie łona⁴,
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okraży;
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pograży.

1. Jaki jest stosunek poety do przyrody?
2. Wskaż na głębię uczuć i przeżyć samotnego jeźdźca.
3. Wskaż tropy, jakimi posługuje się autor w tym sonecie.

¹ *Bajdar* – piękna dolina na Krymie, obecnie Orlinoje.

² *Całun* – przykrycie żałobne trumny, kir.

³ *Mary* – widzenie senne, upiór, widmo.

⁴ *Lono* – wnętrze, głąb.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż Pułkownika,
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby – do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas¹ i pas, i ładunki;
Stary żołnierz – on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rysztunki².
A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej – a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży –
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.
Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,

¹ Kordelas – obosieczny nóż myśliwski.

² Rysztunek – uzbrojenie, zbroja.

Jakie piękne dziewicze ma lica?
Jaką pierś? – Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz Powstańców – Emilija Plater!

1. Przeczytaj wiersz wywołując odpowiedni nastrój utworu.
2. Co jest tematem wiersza?
3. Jakiego bohatera poznasz w tym wierszu?
4. Jaki jest stosunek poety do opisanego wydarzenia?

Józef Ignacy Kraszewski

DZIAD I BABA

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszłająca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą jak oni,
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię.
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiłą
Długie życie rozdzieli.
I modlili się szczerze,

Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje raze

Razem? To być nie może,
Ktoś choć chwilę wprzód skona.
„Byle nie ty, niebożę!”
„Byle tylko nie ona!”

„Wprzód umrę! - woła baba. –
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba;
Zapłaczesz na pogrzebie.”

„Ja wprzód, moja miła.
Ja kaszlę bez ustanku
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku¹”.

„Mnie wprzód!” - „Mnie, kochanie!”
„Mnie, mówię!” - „Dośćże tego,
Dla ciebie płacz zostanie!”
„A tobie nic, dlaczego?”

I tak dalej, i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę mieli porzucić.

Aż do drzwi - puk, powoli.
„Kto tam?” - „Otwórzcie, proszę,
Posłuszna waszej woli
Śmierć jestem, skon przynoszę!”

„Idź, babo, drzwi otworzyć!”
„Ot to, idź sam! ja słaba,

Ja pójde się położyć” –
Odpowiedziała baba.

„Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam, nieboga!”
„Idź, otwórz z łaski swojej!”
„Ty otwórz, moja droga.”

Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha...
A Śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tak stała,
Lecz znudzona, nareszcie
Kominem wleźć musiała.

* * *

¹ lada ranku - w najbliższym czasie, wkrótce.

Leonard Podkorski-Okolów

(1891 – 1957)

O, ty daleka...

* * *

O ty - daleka, ty - niezastąpiona
Zielona moja ziemio białoruska,
Gdzieś tam, jak niegdyś, równin twoich łona
Westchnieniem sennym wiatr wiosenny muska

Gdzieś tam, nad modrą łąk zalanych tonią
w zadumie złotej i w szeregi drzemią
Skowronki, drążąc drżącą ciszę, dzwonią,
I szpak polata nad zoraną ziemią.

Szeroko szumią sosny szmaragdowe,
W ogrodach miękko chwieją się jabłonie,
I świerk w takt wiatru gdzie wyniosła głowę
i na tle niebios złotem szyszek płnie.

I cicho stoi biały dom piętrowy,
Z werandą szklaną i drewnianym gankiem,
Z uchylonymi drzwiami do połowy,
gdzie muchy grzać się zwykły wczesnym rankiem,

A ponad domem błękit roześmiany
Topole prują wierzchołkami trzema,
A jeszcze wyżej - snują się bociany
I błyska obłok... Ale mnie tam - nie ma.

Wincenty Pol

(1807 – 1872)

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ

(fragment)

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujny płody?
Pola bitew, ojców groby –
I pomniki starej doby?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się śmiły?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

A czy wiesz ty, co w nich leży?,
O, nie zawsze, o, nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie
Jako dzisiaj przy macierzy!

Juliusz Słowacki

BALLADYNA

Akt pierwszy

Chata Wdowy

Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami.

WDOWA

Zakończony dzień pracy. Moja Balladyno,
Twoje rączki od słońca całe się rozpląną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku doźniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą

ALINA

Nie! nie, nie, odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoje główkę siwą
I leci na nią by natrętna osa
Do białych kwiatów, ani go od włosa
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła.
O! biedna matko!

WDOWA

Dobre moje córki,
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem ... a kto wie? a może
Już o was słyhać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewiec – niech i kuchta dworu,
Albo koniuszy – zajeżdża kareta ...
I mówi do mnie: podściwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek.– Panie!

Weź Balladyne, piękna jak dziewanna.–
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz za męża – ale starsza panna
Powinna prędeż zostać panną młodą.
W rzeczulkach woda goni się za wodą.
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.

BALLADYNA

Gdzie ty mój grzebień podziałas, Alino?
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.

ALINA

Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.

WDOWA

do Balladyny

Dobrze ty mówisz! Chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg wie nie co ... Ale
Bogu się także w wiekuistej chwale
Musi coś marzyć ... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia ...

BALLADYNA

Ach! słyhać jakiś tarkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
Pięć koni... złota kareta ... ach, kto to?
Jedzie aleją ... Jak to pięknie złoto
Między drzewami błyska! ... Ach! mój Boże,
Co im się stało? ... wśród naszego mostu
Powóz prrr... stanął ... i ruszyć nie może.

WDOWA

Pewnie chcą konie napoić ...

BALLADYNA

Ot właśnie! Pan poi konie na drodze po prostu

WDOWA

Ha! jeśli pić chcą ...

ALINA

Już słońeczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo ...

BALLADYNA

biegnąc od okna

Ach, lampę zaświeć ... ach, lampę ... co żywo
O! gdzie mój grzebień?

Słysząc pukanie do drzwi.

WDOWA

Cóż to? co? ... ktoś puka ...
Otwórz, Balladyno.

BALLADYNA

Niech siostra otworzy . . .

WDOWA

Prędzej otwórzcie.. . ktoś do chaty stuka.

ALINA

Ach, ja się boję . . .

WDOWA

Niech wszelki duch boży
Boga wychwala ... ja odemknę chatę.
Patrzy przez dziurkę od klucza.

O, jakie stroje złocisto-bogate!

Otwiera.

Czy w imię Boga? ...

Kirkor wchodzi.

KIRKOR

Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod moim załamał się kołem,

Szukam schronienia ...

WDOWA

Proszę poza stołem,
Mój królewicu, siadać – proszę siadać.
Chata uboga – raczyłeś powiadać,
Ze powóz ... O! to nieszczęście! – Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewicu –
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny.

BALLADYNA

Matko,

Dosyć – daj panu mówić.

Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów.

KIRKOR

Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń ... czy to córki
Wasze grywają na lutni?

WDOWA

Przepraszam –
Nie ... królewicu ...

SKIERKA

Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewice, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której nakłonić
Serce Kirkora ... Muzyka echowa
Zacznij hymnami powietrznymi dzwonić:
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jednym sercem dwa serca pokocha.
Wkłada wieńce kwiatów na głowy dziewczynom – słysząc muzykę.

WDOWA

Może królewic chce odpocząć trocha? ...

KIRKOR

z zadziwieniem i niespokojnością

Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze są to pieśni? ...
Słyszę śpiewanie . . .

ALINA

Czy się panu nie śni?
Tu w chacie . . . cicho ...

KIRKOR

Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego! ...

SKIERKA

na stroni

Czar działa ...

KIRKOR

Z jakich kadzidel ta woń się rozlała? ...
To z pewna wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

BALLADYNA

Lecz my nie mamy wieńców.
Wchodzi Sługa Kirkora bogato ubrany.

SŁUGA

Naprawione
Koło w powozie ...

KIRKOR

Wyprząc z dyszla konie,
Ja tu zostanę ...

Sługa odchodzi.

WDOWA

Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakim on sienie
Spać będzie? ... Jemu listki róży cisną ...

KIRKOR

do siebie

Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary:
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany ...

SKIERKA

do siebie

Zakończone czary ...

KIRKOR

do Wdowy

Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa! ... O! gdybym dwa trony –
Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę ...
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać . . . Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach! czemuż oczy pierwej nie wybrały
I nie powiodły czucia? Dziś nie umiem
Wybrać ...

WDOWA

Ja ciebie, panie, nie rozumiem ..

KIRKOR

Proszę o rękę jednej z córek... może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,

Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach? ... Otóż Kirkor ... to ja
Proszę o jedną z córek ...

WDOWA

Córka moja? ...
Ja dwie mam córki – ale Balladyna ..

KIRKOR

Czy starsza?

WDOWA

Tak jest... a młodsza Alina
Także jak anioł . . .

KIRKOR

do siebie

Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi – u tej warkocz cudny,
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów – a ta zaś różana –
Ta ma pod rzęsą węgle – ta fijołki –
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem,
Więc jednej mężem – drugiej być kochankiem;
Więc obie kochać, a jedną zaślubić?
Lecz którą kochać? którą tylko lubić? . . .
Niech się przynajmniej z ust różanych dowiem,
Która mnie kocha? . . .

do dziewic

Moje smugłe łanie,
Czy mnie kochacie?

BALLADYNA

Ach! ja ci nie powiem:
Nie ... ale nie śmiem wymówić: tak, panie
Może ty zgadniesz, choć będę milczała;
Zgadnij, rycerzu.

KIRKOR

do Aliny

A ty, róžo biała?

ALINA

rzucając się na łono matki

Kocham...

KIRKOR

Obiedwie kochają.

WDOWA

Zapewne,
Że muszą kochać! ... toż by to dopiero,
Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąć sobie królową,
Piękny i śmiały.

KIRKOR

Któraż z was, dziewice,
Będzie mię więcej kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić, co ja lubię?
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice?

BALLADYNA

O panie! jeśli w zamku są czeluście,
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć – to wskoczę. Jeśli na odpuście
Książdz nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę ...
Czegóż chcesz więcej? . . .

WDOWA

Weź! weź Balladynę.
Szczera jak złoto.

KIRKOR

do Aliny

A ty, młodsza dziewo,
Co mi przyrzekasz?

ALINA

Kochać i być wierną.

KIRKOR

Ach, nie wiem, której oddać rękę lewą
Jako szwagierce – a której z pierścionkiem.
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przedsterną,
Co wiodła króle do Dzieciątka żłobu!
Serce mam jedno, a ciągnie do obu.
Którą odrzucić? której być małżonkiem?
Obie kochają, więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tklivość,
W obojgu miłość jednaką zasługą . . .
Którą tu wybrać? . . .

ALINA

Jeśli mnie wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą ... Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać?
Ona nie może zostać w biednej chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz, ona siwa jak różyczka biała.
O! widzisz, panie . . . musisz także ze mną
I matkę zabrać . . .

KIRKOR

O! jakąż tajemną
Rozkoszą serce napelnia ... O! miła ...

WDOWA

Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli... Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.

KIRKOR

Jużem był wybrał i znów mi w puklerzu
Dwa serca biją ...

BALLADYNA

Byłabym poczwara
Niegodną twojej ręki, ale piekła,
Żeby się matki kochanej wyrzekła.
Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.

KIRKOR

Oślepionego chyba losu ręce
Wskażą mi żonę ...

SKIERKA

śpiewa do ucha Wdowy

Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

WDOWA

Coś matce staruszcze
Przyszło do głowy ... Mój ty królewicu,
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu,
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny;
I niechaj malin szukają po lesie,
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.

KIRKOR

Wyborna rada ... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczym nie skłócone,
Dnie rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko ... niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor ... Sądź sam, wielki Boże!

WDOWA

Królewic znajdziesz w tej chateczce łoże,
Pachnące siano zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka . . . proszę do alkowy.

KIRKOR

klaszcze, wchodzi Sługa

Przynies z powozu puchar kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo ...

Sługa odchodzi.

Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone ...

Odchodzi do alkowy poprzedzany przez Wdowę.

ALINA

Siostrzyco moja ... o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!

BALLADYNA

Jeszcze nie złowione,
To szczęście, siostrzo, może nie dla ciebie ...

ALINA

O! moja siostrzo ... wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą.
A tobie jutro trzeba wziąć się ostro

Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze
Same się tłoczą ... czy tam ... twój kochanek .

BALLADYNA

Milcz! ...

ALINA

Ha, siostrzyczko? a ja wiem, dlaczego
Malin nie zbierasz ...

BALLADYNA

Co tobie do tego?

ALINA

Nic ... tylko mówię, że ja bym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla ... a gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To już by żaden Kirkor ...

BALLADYNA

Nie chcę rady
Od głupiej siostry ...

*Słysząc klaskanie za chatą.– Balladyzna zapala świeczkę i
ukrywszy ją w dłoni wychodzi.*

ALINA

Ha! zaklaskał w borze –

Wyszła ze świeczką ... O, mój wielki Boże! Co tam pan
Grabek powie na te zdrady? Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,
A jam widziała na kwiatkach ugora, Ba! i pod naszą osiną
słyszałam Sto pocałunków ... przebacz mi, o Chryste, Że sądzę
miłość, której ach! nie znałam ... *Kłęka*
Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,
A przysięgając nie złamię przysięgi. . .
Boże! ptaszęta u twojej potęgi

Mogą uprosić o wiszeńkę czarną,
Jaskółkom w dziobek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię ... wszędzie czerwone maliny .
Siada na lawie i usypia.

SKIERKA

śpiewa

Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny ...
A ja lecę do Goplany ...

Odchodzi.

ALINA

przez sen

Wszędzie maliny! maliny! maliny ...

Anioł Ziemi. Srebrny śpiew

(...)

Owiana szatę tęczowych obłoków,
Ona jedyny kościół wśród kościołów.
Ojczyzna nasza kraina Proroków,
Ojczyzna nasza siedlisko Aniołów.

Za Aniołem

Aniele! pójdę za tobą.
Matkę i ojca zostawię,
I brata, z którym się bawię.
Nic a nic nie wezmę z sobą.
Zostawię ogródek, drzewa
I naszą cichą izdebkę.
Moją plecioną kolebkę,
Przy której matka mi śpiewa.
Siostrę w pieluszkach malutką,
Co jeszcze mówić nie może,
Kij z dziadkiem z kościaną bródką,
Na którym jeżdżę po dworze;
Zostawię nawet sukienkę,
I tak w koszulce, jak stoję.
Mój srebrny – podam ci rękę
I pójdziem sobie we dwoje.

Jak nas gdzie zbójcy zaskoczą,
Lub ciemna gradowa chmura.
Twoje mnie skrzydła otoczą
I ja się skryję pod pióra.
Jeśli mi nóżki zemdleją
Albo zmęczony zadrzemię,
Ty mnie nieść będziesz koleją
I znowu spuszczać na ziemię.
Jak będzie świtania blisko,
Zanucim pieśni w niebiosy.

Pod wieczór pójdziem na rżysko
Po złote pszeniczne kłosy.
A jak noc ziemię okryje
I gwiazdki zaświecą jasne.
Ja cię obejmę za szyję.
Główkę pochylę i zasnę.

Teofil Lenartowicz (1822-1893)

* * *

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
 Ja się budzę - i wzrok do gwiazd niosę,
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają.
 Ja ozywam Pańską pijąc rosę.
Cherubiny wtenczas rzędem stają
 I puklerze z ognia złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone,
 Płaszczce, tarcze, jak żelaza czerwone.

Pan mię wtenczas na rannym świtanu
 Za bladymi gdzieś słucha niebiosy.
Serce moje się roztapia w śpiewaniu.
 Sny ostatnie - przechodzą przez włosy.

Juliusz Słowacki (1809-1849)

NIEBO

Śniło mi się dziś niebo: zaraz je poznałem
Po zapachu koniczyn i śpiewie skowronka.
Cykały w trawie świerszcze, falowała łąka,
I wiem, że był tam Pan Bóg, choć go nie widziałem.

Nie widziałem aniołów, ale nad ugory
Z szumem białe swe skrzydła podniosły bociany,
I były jeszcze jakieś buki i jawory,
Które w wiatru poszumie graty jak organy.

ROZMOWA Z ANIOŁEM

Dziś we śnie mnie nawiedził anioł polskiej doli
I płakał, szumiąc w mroku skrzydłami srebrnymi,
 Jak gdyby chciał powiedzieć: „Umierasz powoli,
Samotny, tak daleko od rodzinnej ziemi”.

„Daleko? Co ty mówisz? Mnie wszystkie zapachy
Ogrodów i pól co dzień niosą wiatry,
 We mnie, we mnie jest wszystko: mazowieckie piachy,
I jeziora litewskie i Wisła i Tatry”.

Jan Lechoń (1899-1956)

Teofil Lenartowicz

ZŁOTY KUBEK

W szczerym polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami.

Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.

Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała znad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:

„Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,

A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.”

„Ja ci zrobię śliczny kubek
I uleję wszystko ładnie;

Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;

A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,
A pod spodem małe dzieci.

Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?

Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzeć lice?”
„Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.

Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.”

Władysław Syrokomla*

(1823 – 1862)

Nie żal mi serca i nie żal mi głowy.
Dla ciebie śpiewam, gminu szaraczkowy!
O tobie śpiewam, i z tobą zespołę
Nadzieje, radość i smutki, i boleń...
Wł. Syrokomla

LALKA

Gawęda dziecinna

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy
Ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.

W święto . . . mama mię w nową sukienkę ubierze,
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze,
I pojedziem do kościoła.

Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada,
Czy to ja chłopka wioskowa?

Lecz cichutko ... po polsku ... poproszę w kościele
Niech mi bozia da rosnać i wyładnieć prędeży,
A dla mamy i papy niech da wiele. .. wiele ...
Żółtych i białych pieniędzy! ...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,
A pan Bóg taki dobry – że co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;
To zbierze się pieniędzy tak dużo ... tak dużo ...
Ze i przeliczyć nie można.

Lalko! jaka ty śmieszna . . . nie rozumiesz zgoła;
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam! –jak mówi mama – z opatrności boskiej,
Przyjdzie Żyd brodaty, da groszów i dosyć ...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.

Ty tytko tego nie wiesz – że my – to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,”
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie.
By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane – czysto jak nędzarze
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, to bozia ich karze.
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy laje, każdy kijem kropi,
Doprawdy, że aż szkoda ...skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chlōpi! ...

Ot i wczora ... gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się – czy to pięknie, i co za potrzeba?
Weszli – zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
„Chleba, panoczek! daj chleba! ...”

Więc kazano ich obić... i słusznie obici;
Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak to zasnąć, kiedy naród błądy
I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem... to przyśnią się dziady,
Jeszcze do torby zabrają.

Lub co gorsza – w obrazku pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie. ..
Lalko! zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie
Chłopom i papie, i mamie.

1. Kto jest narratorem tej gawędy? Na czym polega jego funkcja?
2. Jaki jest stosunek dworu do chłopów? Uzasadnij swój sąd.
3. Na czym polega oskarżycielska wymowa tej gawędy?
4. Jakimi środkami artystycznymi posługuje się WI. Syrokomla?
Nazwij te środki (tropy) i podaj przykłady.

GAWĘDA

Gawęda jest to rodzaj opowiadania pisanego wierszem lub prozą o tematyce zaczerpniętej z życia ludu lub szlachty. Autorem wielu gawęd jest Władysław Syrokomla.

KRADZIONE

Przypowieść szlachecka
(podsluchano)

W ręce aspana, panie Jakubie,
Mówisz: kradzione lepsze, i chcesz tego dowieść;
Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
Powiem aspanu przypowieść:
W samym końcu zaścianku, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic poczciwy –
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa,
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie jak u młokosa.
A tutże, mój mospanie, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,

Na którym pasły się stada,
Konie, owieczki i woły.
„Czy wiecie, co tatulu? (tak mówił raz młody)
Fraszki to – praca i cnota.
U nas, panie, poczciwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota.
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
Poczciwym nie da talarka,
Dla jednego pomyślność odmierza ośminą¹,
Drugiemu liczy na ziarnka.
Na przykład choćby u nas: ot, idą zapusty,
A w domu ni to, ni owo.
Hola! jakby to dobrze, by na czwartek tłusty
Utuszyć² pieczeń wołową!”
„A skądże weźmiesz wołu?
„Czy to wielka sztuka
Niby to dostać nie mozem!
Chodzą woły sąsiada – po gardlisku nożem,
Niech potem sąsiad poszuka”.
„Cóż to! – zawołał ojciec – to kradzież wyraźnie.
To jakaś sztuka zbójcka.
A siódme przykazanie? a sumienie? – błaznie!
A nasza wiara szlachecka? .. .”
„At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
Za cóż my biedni i głodni?
Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;
Czy to po ludziach nie chodzi?

Na takie argumentum ojciec mruknął z cicha:
„Cóż robić? szatan cię uczy;
Ukradnię jutro wołu – lecz pomnij, do licha:
Nigdy kradzione nie tuczy!”
Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza.³;

¹ *Ośminą* – litewska miara rzeczy sypkich; ośminą równa się 18 garcom, tj. ósmej części beczki litewskiej.

² *Utuszyć* – udusić pieczeń.

³ *Borysz* – poczęstunek z okazji dobitego targu.

Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem ... het! do zacisza.
Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
Rozćwiertowali w stodole,
I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.
„Wiesz co teraz, mój synku? odmierzym się w pasie:
Zjadając mięsko tak cudnie,
Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakiem czasie,
Kto z nas utyje, kto schudnie?”
Zmierzyli się – i każdy na swojej poprędze
Naznaczył kreskę czerwoną.
„Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
Teraz utuczmy się pono!”

Przez całe trzy tygodnie gody¹ u szlachcica,
Co dzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie ...
Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzywnie we wrotach – on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;
W obiedzie . . . strach, zgryzota, co chwila poblednie,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu – syn wysechł jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.

„A co, błaznie – rzekł stary – pamiętaj przysłowie,
Że małe parta² do czarta.
Ja zakupiłem wołu – toć mi szło na zdrowie,

Ty kradnąc schudłeś na charta”.
„A cóż, panie Jakubie, jak przypowieść zda się?” „Moralna!
sens na wierzchu jakby gwiazda świeci”.
„Ja umiem jeszcze lepsze – a w swobodnym czasie
Więcej opowiem waszeci”.

1. Jakie wnioski wypływają z treści tego wiersza? Czego poeta uczy młodzież?
2. Jakie wartości wychowawcze kryje ta przypowieść?
3. Co was w tym utworze wzrusza, a co budzi sprzeciw?

KRUK

(Piosenka litewska)

Sponad lasu, sponad chmury,
Na dolinę sioła
Kruk się spuści! czarnopióry,
Na żer dziatwę woła.
Ej! żerował gdzieś na grobie
Wpóśród bojowiska:
Krwawą rękę trzyma w dziobie,
Na niej pierścień błyska!

– „Czarny kuku! z jakiej strony
„Burza cię przywiała?
Skąd ten pierścień pozłożony
„I ta ręka biała”? –
„Za górami, ej, dziewczyno!
„Był tam bój nie lada!
„Krwii młodzieńczej rzeki płyną,
„Głów tysiące pada!

„Zakopuje lud roboczy
„Bohaterskie głowy;
„Na mołojców orle oczy
„Sypie żwir surowy.
„Po kurhanach, jak kopacze,
„Wyją wilków stada,

¹ *Gody – tu: święto, uroczystość.*

² *Małe parta – źle nabyte (marnieje); majątek nabyty nieuczciwą drogą nie przynosi zysku.*

„I niejedna matka płacze,
„Na grób pierśmi pada!”

Dziewczę jękiem pierś rozrywa
Twarz we dłoń chowa: –
„Dolaż moja nieszczęśliwa!
„Biednaż moja głowa!
„Wiem już teraz kto zabity,
„Czyja to dłoń biała:

„Jam ten pierścień złotolity
„Lubemu oddała!”

1. O czym jest mowa w pieśni *Kruk*?
2. Na czym polega patriotyczna wymowa piosenki.
3. Wskaż w wierszu motywy ludowe.
4. Jakiej formy i jakich środków artystycznych używa poeta dla odzwierciedlenia tragedii wiejskiej dziewczyny?

Bronisława Ostrowska

NOC MIEJSKA

Otwieram okno i w letnią noc patrzę:
Drzew kilka szumi zolbrzymiałych, noc.
Z dala latarnie uliczne migocą,
I marionetek sznur – jak na teatrze...

Kot się gdzieś skrada za ptasimi gniazdy,
Ćma się pod światło latarni trzepoce –
I tak bezmiernie dalekie lśnią gwiazdy
W miejskie, więzione, beznadziejne nocel

DZIEWANNA

Południe idzie upalne przez wrzosowiska:
Wyschłego ziela oddechy płyną upojne,

Czasami szklarka przelotna pod słońce błyska
Albo motyle na kwiatkach i pszczoły rojne;
Z gęstwiny kwietnej dziewczanna dumnie wytryska.

Powietrze żarem drgającym skroś się przesyca,
Jakby nim chwiała koników harmonia szklanna...
Z sosnowych pni gorejących kapie żywica,
A wśród spiekoty słonecznej złota dziewczanna
Stoi przegięta, miłosna – jak południca.

* * *

A kiedy émy wieczorem o szyby łopocą,
A serce pierś rozrywa niespokojnym biciem –
Czy wiesz, co mały świerszczyk gra w kominie
Czy wiesz, że to bez ciebie życie nie jest życiem?
nocą?

NIEŚMIERTELNIKI

Zerwijmy sztywne, syczące nieśmiertelniki,
Zapalmy lampę na grobie zmarłej przeszłości: Na
każdym grobie migocą żółte ogniki,
Na każdym grobie szeleszczą nieśmiertelniki...

Pamiętasz lata dziecinne? Przeszłość umarłą?...
Pod kloszem starej serwantki sztywne bukiety.
Na tle kominka skroń siwa... spłowieale karło... W
nieśmiertelniki ustrójmy przeszłość umarłą!

Maria Pawlikowska - Jasnorzewska

I

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.
Patrzysz w okno i smutek masz w oku.
Przecież mnie kochasz nad życie?
Sam mówiłeś przeszłego roku...

Śmiejesz się, lecz coś tkwi poza tem.
Patrzysz w niebo, na rzeźby obłoków...
Przecież ja jestem niebem i światem?
Sam mówiłeś przeszłego roku...

II

Nie widziałam cię już od miesiąca.
I nic. Jestem może bledsza,
trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
lecz widać można żyć bez powietrza!

III

Ktoś list dostał. Komuś serce bije.
Idzie czytać pod kwitnące jabłonie.
Czyta. Chwyta się ręką za szyję
i dno traci, i w powietrzu tonie.

IV

Pani traci już wszelką powagę:
Czyha w bramie na listonosza!
Patrzy smutno, uśmiechem go błaga
jak ranny leżący na noszach.

Dni tej pani bez listów toną,
idą na dno w żalu bez granic...
aż się dziwi zmartwiony listonosz:
„Ja bym tam napisał do pani”...

V

Oto Królowa Mrozu idzie przez ulicę,
otoczona przez dziką śnieżycę.
Usta ma blade, zaciśnięte twardo
i kapelusz z zaśnieżoną kokardą –
w ręku list. Czarne słowa na białym
papierze.
z których mróz swój początek bierze.
Idzie prędko ku rzece. Zamarzłe ma oczy.
Rzeka stanie, gdy Królowa w nią skoczy.

VI

Może kiedyś, nieoczekiwanie,
przyjdzie list ten. I nic się nie stanie.
Tylko patrząc w oczy Panu Bogu
rzeknę z cicha: „Za późno, mój Panie!”

VII

Czeka, patrzy na zegar swych lat.
gryzie chustkę z niecierpliwości.
Za oknem świt zszarzał i zbladł...
A może już za późno na gości?

VIII

Do pieca, miłosny zeszycie!
Do pieca, listy – stos cały!
A żeście z ognia powstały,
więc w ogień się obróćcie!

IX

Jest listopad czarny, trochę złoty.
mokre lustro trzyma w ręku ziemia.
W oknie domu płacze żal tęsknoty:
Nie ma listów! Listonosza nie ma!
Już nie przyjdzie ni we dnie, ni w nocy,
złote ptaki zawiąły mu oczy,

wiatr mu torbę otworzył przemocą,
list za listem po drodze się toczy!
Listonosza zasypały liście,
serc i trąbek złocista ulewa!
ach, i przepadł w zamęcie i słońcu
list, liść biały z kochanego drzewa!...

X

Usta twoje: ocean różowy.
Spojrzenie: fala wzburzona.
A twoje szerokie ramiona:
Pas ratunkowy...

XI

Tęsknota nade mną szeleszczy.
Trąca mnie skrzydłem mewiem.
Czy wciąż ta sama jeszcze?
Nie wiem! Nie wiem...

XII

Byle ten obłok niełaski
z naszego słońca się zwłóknął,
a położę się jak cień płaski
u Twoich nóg...

XIII

Słońce stanęło w zenicie:
oglądam się na przebytą drogę:
to ma być moje życie?
Patrzeć się na to nie mogę!

Tadeusz Kubiak

ŚNIEG

Polną drogą, czarnym lasem,
pogwizdując sobie czasem
biegł
śnieg.

Białym futrem słał się w ciszy,
cichszy od najcichszej myszy
śnieg,
śnieg.

Ośnieżone dachy, płoty,
przyprószone śniegiem koty,
białe konie,
białe sanki,
senne w sankach kołysanki,
śnieg,
śnieg.

Biały niedźwiedź spał i chrapał,
lizął łapę – słodka łapa.
Zapachniało leśnym miodem –
niedźwiedziowi – kap na brodę.
Gdzie?
W śnie.

Czarnym lasem, polną drogą,
pogwizdując groźnie, srogo
biegł
śnieg...
biegł
śnieg...
biegł
śnieg...
biegł
śnieg...
biegł
śnieg...

Dorota Gellner

ŚNIEŻNE DZIEWCZYNKI

Śnieżne dziewczynki
w białych kucykach,
w bucikach sznurowanych,
biegną przez miasto,
które wygląda
jak cukrem posypane.

Słodkie miasteczko,
słodkie wieżyczki
i sople pewno też słodkie,
białe ulice i kamienice,
białe, kamienne schodki.

Stuk, stuk, stukają
po białym bruku
białe buciki dziewczynek,
a w górze księżyc
w srebrnej uprzęży
nad miastem płynie.

Tańczą dziewczynki,
śnieżne dziewczynki,
wiatr białą bajkę plecie.
Spójrz!
Nawet drzewo się ukloniło
w zimowym menuecie.

STEFAN ŻEROMSKI

(1864–1925)

Ciebie jedną kocham, cudowna rodzinna
ziemio. Bądź błogosławiona, stworzona dla
nas, abys wspierała dusz naszych słabość, abys
powiększała uczuć małość piękna, dobra,
umiłowana ...

St. Zeromski

SWAWOLNY DYZIO

(Fragment z powieści „Ludzie bezdomni”)

Jednego z ostatnich dni kwietnia dr Judym ukończył wszelkie rachunki z miastem Warszawą, spakował manatki do walizy. .. – wsiadł do powozu i kazał się zawieźć na dworzec. .. Gdy pociąg ruszył, Judym wsunął się do przedziału, gdzie służący ulokował jego walizę, i znalazł miejsce w rogu sofy. W *coupe*¹ siedziały już trzy osoby: jakiś wiekowy oficer i dwie panie. Osoby te miały dużą ilość kufrów, a zabierały się do drogi systematycznie: pan umieścił swą szablę i czapkę w rogu, panie rozstawiły obfity zbiór koszyków, skrzynek, pudeł, neseserów² itd. Gdy przebyto most, Pragę, resztki zabudowań, gdy nasunął się pierwszy las, brzozy jak senne marzenia wynurzające się z ciemnej głębinny sosen, pola z ich nikłą runią zbóż jasnych, dr Tomasz nie mógł od okna wzroku oderwać. W niebiosach, gdzie przecudny, dobrotliwy błękit zdawał się rozkwierać ostatnie swoje zasłony, płynęły wiotkie chmurki. Na ziemi wszystko tchnęło życiem, rozrostem i pięknem. Czasami odmykał się przestwór równiny dalekiej, to znowu zasłaniały go wsie, dwory i piękne, prawdziwie czcigodne sylwety kościołów.

Judym nasyczał oczy tym krajobrazem, gdy wtem drzwi otworzyły się i nie tyle weszła, ile wdarła się do przedziału dama wysoka i chuda prowadząc za rękę chłopczyka mniej więcej dziesięcio- letniego. Dama była niepiękna i, jak się rzekło, chuda w sposób taki, że widzowi mimo woli przychodził do głowy akt dziękczynienia za to, że istnieją, chwala Bogu, szaty damskie i że uwalniają śmiertelnych od widoku dam tego

¹ *Coupe* – przedział w wagonie.

² *Neseser* – walizeczka albo torebka podróżna na podręczne przybory zwłaszcza toaletowe.

rodzaju – w negliżu¹. Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone. Konduktor i jeszcze jakiś funkcjonariusz² wagonowy wrzucili za nią do przedziału kupy węzłków, skrzynek, wózków, drewnianych koni wielkości zrebnięcia, parę walizek i pudełek kartonowych. Dama zostawiła to wszystko razem i każdą rzecz z osobna losowi naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble krępujące swobodę jej ruchów na nogi sąsiadom. . . Ukończywszy to zajęcie padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszy drogi. Mały Dyzio stał pośród sprawunków nawalonych w przejściu między siedzeniami i, gwizdząc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurem uwiązany do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce przypominały rysia czy zębika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione odsłaniały nogi okryte krwią i mnóstwem siniaków.

– Dyziu, usiądź... – rzekła matka głosem omdlewającym.

Mówiąc to patrzyła nie na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą.

Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi siedzącemu w kącie przedziału i zaczął szczegółowo oglądać guziki munduru biorąc każdy z nich w palce zawalane rozmaitymi substancjami³.

ojaskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacji⁴ i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz wiszący w kącie na haku i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu..

– Dyziu, zachowuj się jak należy... – rzekła matka – bo pan oficer wyjmie pałasz i utnie ci głowę.

¹ *Negliż* – swobodny strój domowy (zwłaszcza kobiecy) poranny albo nocny, ubiór niekompletny, skapy, bielizna.

² *Funkcjonariusz* – pracownik, urzędnik.

³ *Substancja* – wszystko to, co wypełnia przestrzeń i występuje w trzech stanach skupienia: stałym, ciekłym i lotnym.

⁴ *Imaginacja* – bujna fantazja, wyobraźnia.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzta, że włązi na odciski. Dyzio z miną tryumfatora¹ obojętnego na wszystko przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania zdartą, kto wie czy nie bardziej niż pończochy. Jedna z pań zwróciła się do stroskanej matki i rzekła:

– Proszę pani, synek może wylecieć za okno...

– Dyziu, na miłość boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani² tak wypiętą pozą chłopczyny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki przymocowanej pod oknem. Dla zachowania równowagi stanął wtedy na jednej nodze, a druga w miarę ruchów tułowia wierzgała po przestworze około głów pań siedzących. Oficer zerwał się z miejsca, ujął kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przede wszystkim wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu po raz drugi zostało zabronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony bez względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kufierki, czy w stopy z odciskami.

– Proszę pani – krzyknął oficer – co to jest! A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa! . . .

– Dyziu, zaklinam cię na wszystkie świętości! – wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzia w spokoju, ale i on się jakoś umitygował³. Patrzył tylko ze szczególną niechęcią na oficera i spluwał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwległą ławkę, ręce wpakował w

¹ *Tryumfator* – zwycięzca.

² *Zaambarasowani* – zafrasowani, trwożliwi, skrępowani.

³ *Umitygować* – uspokoić się, wstrzymać się, pohamować się.

kieszenie kurtki i wlepił w każdą osobę z kolei swe sowie oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem, kolanem, wreszcie wywlócił spod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął nim oburącz świdrować. Doktor odjął patyk i usunął rękę chłopca. Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historia. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze¹ z kwaśną miną – a wreszcie wyseplenila:

– Proszę cię, nie rób tego... Po co to? Czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tym mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego *coupe* pan konduktor wyrzucił jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie. ...

Dyzió skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić, wyrzucać w górę i łapać na patyk.

– Ach, Dyziu, Dyziu... – jęczała dama. – Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozgniewa się i znowu zwymyśla mamę tak samo jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... Chyba chcesz...

– No, chcę, żeby mamę zwymyślał... – mruknął syn nielitości-wy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnym miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi. ... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Wrócił tam aż w Iwangrodzie², kiedy trzeba było zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcją³ myślał o tym, że się z Dyziem rozstaje.

Jakaż była jego złość, gdy ujrzał matkę ze swawolnym synem wstępujących do wagonu, gdzie siedział. Była tam salka drugiej klasy wspólna dla znacznej części pasażerów, toteż Dyzió używał co się zmieści.

Okolo godziny trzeciej po południu zbliżano się do stacji, na której Judym miał wysiąść, i dalszą drogę, to jest pięć mil, odbyć końmi.

Wydobywszy się z wagonu i minawszy dworzec drugorzędnej stacyjki zastał duży, parokonny powóz i furmana w błyszczącej liberii¹. Walizę przyniósł w ręku bardzo stary Zydek i umieścił ją na koźle. Doktor skoczył jeszcze do bufetu, żeby kupić papierosów. Gdy prędko biegł z powrotem, ujrzał Dyzia i jego matkę sadowiących się właśnie do jego powozu. Ręce mu opadły i dawno nie używane szewskie przekleństwo splamiło mu usta. Znużona matka Dyzia już wiedziała od woźnicy, że ma jechać z jakimś panem, już poznała walizkę i z bardzo ujmującym wyrazem twarzy czyniła zbliżającemu się miejsce obok siebie.

W pierwszej chwili Judym zasadniczo zdecydował się nie jechać za żadne skarby świata. Ale szereg prędkich zestawień i obliczeń funduszu wywołał w jego umyśle inną decyzję, a na oblicze wyraz szczęścia i słodyczy. Z tym piętnem na twarzy zbliżył się do damy i zawiązał rozmowę pełną wykwintnych ogólników. Wkrótce tobołki umieszczone zostały, gdzie się dało, Dyzió z obawy, ażeby broń Boże nie spadł pod koła, wskutek usilnych próśb matki zasiadł na ławeczce w nogach i landara² wwalila się w bagnistą uliczkę żydowskiej miasteczki.

Dama ciągnęła dyskurs nieustannie, wtedy nawet, gdy powóz przechodził istne konwulsje w dołach, wybojach, bajorach i suchych grobelkach miejskich. Judyma mdłości ogarniały na samą myśl, że ta zabawka towarzyska trwać będzie na przestrzeni pięciu mil, że wzmianek bowiem matki Dyzia okazywało się, że jadą do Cisów. Ale wkrótce za miastem doznał pociechy, gdy mu prosto w twarz wionął oddech wilgotny, lecący z niedocieczonego przestworza, z pól, z lasów. Role po długich deszczach rozmiękle, porznięte brunatnymi smugami bruzd mokrych, już tu i ówdzie, jaśniały szarożółtą barwą wysychając w miejscach wzniesionych. Nad nimi kurzył się lekki, siwy opar. Niwki ozimin snuły się wzdłuż i w poprzek cudną barwą swoją, która w oddali mieniła się rozmaicie, to zielono, to niebieskawo, jak kolor piórek na szyi pawia. Wysoko stały białe obłoki jakby zaspy śniegów spiętrzonych, pomalowane ślicznymi cieniami. W głębi ich skrzydeł rozlegał się istny chór skowronków. Nad jasną runią pastwisk ma-gały się czajki, co chwila wydając okrzyk swój wesoły.

¹ *Liberia* – mundur dla służby, uniform.

² *Landara* – ciężka, zwykle czteroosobowa karetka podróżna; duży, niezgrabny, zniszczony powóz.

¹ *Procedura* – sposób postępowania.

² *Iwangród* – nazwa nadana Dęblinowi w okresie zaborów.

³ *Satysfakcja* – zadowolenie.

Konie rwały ostrego kłusa i spod kół zaczęły się rozlatywać bryzgi tęjącego błota. Wiatr przeszkadzał mówieniu, toteż „konwersacja”¹ stawała się cokolwiek mniej dokuczliwą. Judym tonął oczyma w nowym pejzażu. Był on dla niego nowym prawdziwie. Wsi, a raczej ziemi, gleby, przestworu w tej porze roku doktor nigdy jeszcze nie widział. Budził się w nim święty instynkt pra-człowieczy, mglista namiętność do roli, do siewu i pielęgnowania zboża. Uczucia jego rozproszyły się i błąkały w tych szerokich widokach. Tam pod lasem, który dopiero zaczęły barwić liście, wśród wzgórza otoczonego drzewami leży miejsce na dom. Olchy i sokory jeszcze są czarne. Tylko wysmukła, strzelista brzoza okryła się już cienką mgłą liści tak szczelnie, że nagie pręty już się ukryły. Dokoła pniów uśmiechają się bladoniebieskie przylaszczki. Obok lasu ciągnie się wąska dolina, a środkiem niej przepływa strumień. Jakiś człowiek idzie po zboczu górki, schyla się, coś tam robi, nad czymś pracuje, coś sadi czy sieje.

„Szcześ ci Boże, człowieku. . . Niech się stokrotnie urodzi twe ziarno...” – myśli Judym i zatapia oczy w tym miejscu, jakby było domem jego rodzinnym. Ale oto staje mu w oczach inny dom: suterena, wilgotny grób, pełen śmierdzącej pary. Ojciec wiecznie pijany, matka wiecznie chora. Zepsucie, nędza i śmierć... Co oni tam robili, czemuż mieszkali w jamie podziemnej, umyślnie zbudowanej na to, żeby hodować w ciele choroby, a w sercu nienawiść do świata?.. .

I znowu pieści się z oczyma to wzgórze uśmiechnięte do słońca. . .

Powóz mijał wioski, karczmy, lasy, rozdroża i mknął gościńcem błotnistym. Słupy wiorstowe dość często nasuwały się przed oczy i upalono już ze dwie mile drogi, kiedy Dyzio dał znak życia. Do tej chwili pogrążony był w pewien rodzaj somnambulizmu². Siedział zmartwiał jak bryła soli, wylupionymi oczyma wodząc po rowach. Właśnie Judym tłumaczył matce coś interesującego, gdy uczył, że malec zaczyna łechtac po łydkach. W pierwszej chwili sądził, że mu się zdaje, ale wkrótce, rzuciwszy okiem, zobaczył na obliczu łobuza znamię chytrności i wywieszony język, którym ten pomagał sobie niejako w procedurze łechtania. Dyzio wsuwał rękę między nogawicę spodni Judyma i cholewkę jego ka maszka, odchyłał skarpetkę i wodził po gołej skórze długą, ostrą słomą. Judym nie zwracał na to uwagi, w nadziei że

mania pso-tnicza ominie małego towarzysza drogi. Stało się przeciwnie. Dyzio wynalazł pod siedzeniem jakiś zabłąkany długi, ostry badyl i tym sięgał aż do kolana. I to mu nie wystarczyło: wyskubywał nitki ze skarpetek, usiłował zdjąć kamasz, zawijał ineksprymable', dopóki się dało itd. Poczęło to wreszcie doktora drażnić. Odsunął szorstkim ruchem rękę łobuza raz, drugi, trzeci. Wszystko na nic. Język, wywieszony na bok, coraz bardziej wskazywał, że gotują się nowe eksperymenty. I rzeczywiście: Dyzio zaczął zbierać dłonią duże i lepkie bryzgi błota, które osiadały na wachlarzu powozowym, lepił z nich wielką pigułę i pakował na gołe ciało za cholewkę doktorskiego kamasza. Judym wyrzucił pierwszą taką bryłę. Gdy malec ulepił drugą i wpakował ją znowu, odepchnął go mocniej, a gdy wreszcie po raz trzeci przygotowywał się do teje czynności, rzekł do niego:

– Słuchaj, jeżeli się zaraz nie ustatkujesz, to ci zerznę skórę.

Chłopak uśmiechnął się zjadliwie, zebrał ręką nową garść błota i rozpostarł je na obnażonej nodze. Wtedy Judym kazał furmanowi stanąć. Skoro tylko powóz się wstrzymał, otwarł drzwiczki, jednym zamachem skoczył na ziemię i wyciągnął ze sobą Dyzia. Tam ujął go za kark lewą ręką, przechylił w sposób właściwy na kolanie i wysypał mu prawą około trzydziestu klapsów spod ciemnej gwiazdy. W trakcie tej operacji słyszał rozdzierający krzyk damy, czuł szarpanie za rękawy, nawet drapanie paznokciami, ale nie zwracał uwagi. Matka nieszczęsnego skazańca zerwała Judy-mowi kapelusz z głowy, rzuciła go w pole i wrzeszczała jak obłąkana. Gdy doktora dłoń zabolala od razów, wrzucił chłopaka na siedzenie powozu, wyciągnął swoją walizkę, wziął ją w rękę i kazał jechać.

– Proszę pana doktora, jakże to jechać? – rzekł furman – jakże jechać? Niechże pan doktor wsiada.

– Nie wsiadę! Jedź do Cisów z tą panią. Ja idę piechotą...

1. Jakie wnioski ogólne nasuwają się po przeczytaniu utworu?
2. Wskaż fragmenty utworu uzasadniające jego tytuł. Jak ocenisz zachowanie się Dyzia?
3. Zanalizuj skutki postępowania bohatera.
4. Jakie zasady savoir vivre² musimy przestrzegać w czasie podróży?
5. Wyodrębnij w tym fragmencie powieści opis, opowiadanie i dialog.

¹ *Konwersacja* – rozmowa towarzyska.

² *Somnambulizm* – przypadłość chorobowa: poruszanie się i wykonywanie czynności w głębokim śpieniu; stan ten nie pozostawia po przebudzeniu śladów w świadomości.

PRAKTYKA

Proroctwo doktora Płowicza co do dalszych losów Judymowych spełniło się o tyle, że istotnie tablice z wyszczególnieniem godzin przyjęcia umocowane zostały nie tylko na drzwiach mieszkania doktora Tomasza, ale także u wejścia do sieni kamienicy, w której zamieszkał. Szyldy te opiewały, że doktor przyjmuje w godzinach popołudniowych, między piątą a siódmą. Całe ranki spędzał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, gdzie pełnił obowiązki asystenta. Stołował się, jak za czasów studenckich, na mieście, a od godziny piątej, stosownie do wskazań spizowymi literami wyrytych na tablicach, siedział w „gabiniecie” aż do siódmej. Nie pozwalał sobie ani najdrobniejszego przekroczenia godziny piątej, tym mniej wydalania się przed siódmą. Już w chwili wynajęcia lokalu zdecydował, że trzymać się będzie tego przepisu jak najściślej, toteż wykonywał go ze skrupulatnością nieubłaganą, odrzucając wszelkie impulsy i mamidła przez wzgląd na kształcenie w sobie charakteru, a osobliwie wytrwałości. Prawda, że w ciągu miesiąca września, października, listopada, grudnia, stycznia i lutego nie zjawił się w tym mieszkaniu ani jeden pacjent, ani jeden „kulawy pies niosący w zębach rubla”, jednak nie upoważniało to wcale do zrywania tablic, a tym mniej do jakichkolwiek przerw i uchybień w kształceniu woli. Było i jest rzeczą wiadomą, że początki praktyki... itd. Toteż doktor Tomasz czekał niezachwianie.

Lokal składał się jak gdyby z trzech pokojów. Największy z nich (właśnie „gabinet”) oddzielony był sienią od znacznie szerszego, który stanowił „poczekalnię”. Zarówno sień, jak i poczekalnia przepołowione były forsztowaniami, pierwsza na sień i pseudo-kuchnię, druga na poczekalnię właściwą i, jeżeli godzi się tak go nazywać, pokój sypialny. Cały apartament mieścił się na dole, od frontu, co zaopatrywało go wprawdzie w turkot ulicy Długiej oraz w wilgoć, ale za to pozbawiało światła dziennego. Co się tyczy umeblowania, to doktor Judym żywił i wprowadzał w czyn mniemanie radykalne: „Po co – myślał – mam meblować mieszkanie, *cui bono**? Czy mój pacjent zyska co na tym? Czy może ja za pomocą kanap i obrazów zyskam pacjentów? Bynajmniej!”

Co postanowił, to wykonał, a raczej nie wykonał w tym mieszkaniu nic prawie. W „gabiniecie” stał stolik przykryty bibułą, na nim kałamarz,

pióro i papier do pisania recept. Obok stolika czekały cztery drewniane stołki. Przy ścianie nudziła się stara sofa obita czymś wzorzystym.

W „poczekalni” mogło się rozsiąść wygodnie co najmniej pięciu pacjentów. Była tam kanapa, dwa fotele, parę stołków, „Tygodnik Ilustrowany”, pojedyncze numery różowego czasopisma „Głos” i jakiś impresjonistyczny rysunek w ramkach na ścianie. Wszystkie te meble, z wyjątkiem naturalnie „Tygodnika”, „Głosu” i rysunku, kupione zostały za gotówkę na ulicy Bagno iw pewnym bardzo renomowanym składzie bardzo „hrabskich” mebli. Podłogi zostały świeżo pomalowane olejną farbą, w przedpokoju umieszczono lustro (wszystko ku wygodzie i niezbędnej potrzebie pacjentów). Co prawda lustro miało właściwości szczególne.

Pacjent najbardziej trzeźwo usposobiony mógł dostać pomieszenia zmysłów ujrawszy w tej tafli szklanej swe oblicze... Nos ukazywał się tam zawsze rozdęty jak kolba dubeltówki, jedno oko i w czole, a drugie tuż przy prawej dziurce nosa, usta literalnie od ucha do ucha i nad podziw imitujące buzię nosorożca. Obowiązki gospodyni mieszkania, służącej a zarazem portierki, która by na pierwszy odgłos dzwonka otwierała drzwi pacjentom, przyjęła niejaka pani Walentowa, małżonka wędrownego bednarza. Mieszkała w suterenie tego samego domu, a tuż pod „gabinetem” doktora Judyma, co w znacznej mierze ułatwiało komunikowanie się za pośrednictwem walenia obcasem w ziemię. Pani Walentowa było to babsko stare, grube, skręcone przez rozmaite sutereniwe łamanie, niewątpliwie złopiące monopol w dużej ilości, aczkolwiek w sekrecie – jednym słowem grzmot warszawski.

Jako wyręczycielka mamy spełniała czynności mniej więcej piętnastoletnia córka, dosyć ładne dziewczątko, czekające tylko odpowiedniego wieku, ażeby wyjść na ulicę z ciemnicy suterenowej.

Te białogłowy zagospodarowały się w mieszkaniu doktora Tomasza z taką wszechwładzą, że mowy być nie mogło ani o ukróceniu ich praw, ani tym mniej o jakiejś zmianie trybu postępowania. Wyrzec się ich usług nie było możliwości, gdyż zaczynały obydwie ryczeć jednym strasznym bekiem, wzywając na świadectwo głód, chłód, nędzę, bóle, łamanie... Procesować się o wszelkie rzeczy ginące nie wypadało, gdyż zaklinały się z miejsca na tyle i takich sakramentów, że chyba człowiek wyzuty ze wszelkiej delikatności mógłby je podejrzewać o krzywoprzysięstwo. Co się działo ze świecami, z naftą, węglem kamiennym, cukrem, chlebem, herbatą, masłem, ze składowymi

* Cui bono (łac.) – dla czyjego dobra? po co?

częściami garderoby męskiej itd. – to jest wieczną tajemnicą. Każdy prawie przedmiot kupiony za pieniądze tyle istniał w świecie zjawisk rzeczywistych, o ile figurował w rachunku. Poza tym bytował tylko w imaginacji Judyma podsycanej przez niektóre ze zmysłów. Świec nabytych nigdy, literalnie nigdy nie było. Wstępując nocną porą iw progę domową doktor Tomasz zawsze laził omackiem i nadaremnie szukał zapalek, lichtarza, lampy... Że jednak świece rzeczywiście w mieszkaniu egzystowały i płonęły, o tym świadczyła wielka obfitość kropel zastygłej stearyny nie tylko na lichtarzu, na podłodze, na obiciu kanapy, stołków, na prześcieradłach łóżka, ale także dziwnym zbiegiem okoliczności na ineksprymablach i żakietach wiszących w szafie na klucz zamkniętej. Lampa była wiekuiście wewnątrz pusta, z upalonym knotem, ale za to niewątpliwie naftą pooblewana ze strony zewnętrznej i cuchnąca tym szlachetnym paliwem z odległości pięciu kroków, co w każdym razie wskazywało, że co kupiono, to wylewano ze szczodrobliwością. Cukru i bułek dr Tomasz nigdy w szafie nie znalazł, choćby się z głodu wił pod jej drzwiami, natomiast nie zamiecione okruszyny słały się wszędzie, a szczególnie w łóżku... Jedną poręcz wyściełanej otomany, kupionej za gruby pieniądz, iwkrótce okryta została jakimś szczególnym tłuszczem, a druga uczerniona szuwaksem i zwalana błotem, jak to mówią, do cna. Wyobraźnia doktora widziała niby w biały dzień na jednym z wałków cennego mebla wypomadowaną głowę panny Zośki, a na drugim oparte teje Zośki kopyta (wyobraźnia widziała mianowicie kopyta – nie nogi). Stolik świeżo „na moje sumienie” politurowany, kiedy go kupowano w sklepie, był wkrótce zbiorowiskiem okrągłych śladów (wymownie świadczących o tym, że jednakże samowar doktorski produkuje znakomity wrzątek). Z początku dr Tomasz usiłował wytworzyć stosunek pełen życzliwości, braterski. Nim upłynął miesiąc, już walczył, a w listopadzie był zwyciężony i wzięty do niewoli. Odtąd, jeżeli nawet zastał Zoşkę wylegującą się na kanapie z kopytami obarczonymi błotem, jeżeli nawet spostrzegął Walentowa żłopią-cą herbatę z arakiem przy stole obficie zastawionym jego wiktuałami, stosował jedynie możliwą, aczkolwiek mało skuteczną metodę włoską: *guarda e passa**. Nie było innej rady... Zamykał się w swoim „gabiniecie”, a resztę mieszkania oddawał *in direptionem*** ...

* *Guarda e passa* (wł.) – spojrz i idź dalej (cytat z *Boskiej Komedii* Dantego.)

** *In direptionem* (łac.) – na rozgrabienie

W godzinach przyjęcia doktor Tomasz nie ośmielał się czytać książek. Siedział za swym stolikiem wyprostowany i czekał. Tak było we wrześniu, w październiku... Z czasem pozwolił sobie na czytanie gazet w pozie już to siedzącej, już leżącej. Przy końcu grudnia tegoż roku czytanie gazet odkładał w ciągu doby na godziny przyjęć, a po Nowym Roku zaczął znosić do gabinetu na te właśnie godziny rozległe utwory Zoli, Jokaja, Dumasa, Lama. W sieni zawsze o tej porze siedziała Walentowa na wyściełanym krzeselku, z nogami okręconymi jakimś grubym wojłokiem. Z początku tak zwanej wizyty baba kaszlała, stękała, wzdychała na świadectwo czuwania – iw środku stopniowo zaci-chała, a wkrótce potem dawało się słyszeć tęgie chrapanie. Bywały dni takie, że w ciągu drugiej części programu rozlegał się rumor i łoskot. Walentowa w trakcie drzemki zlatywała z chwiejnego krzesła. Po każdym takim wypadku doktor musiał jej dawać kopiejki na arak, gdyż przysięgała na wszelkie świętości, że to słabość z głodu i czczości tak nią rzuca o ziemię. Kilkakrotnie wzywano młodego eskulapa do mieszkańców domu w raptownych wypadkach zasłabnięć, przeważnie poniedziałkowej natury. Raz w jesieni przyszedł Stary introligator z sąsiedniej kamienicy, zadzwonił, zbudził Walentowa i narobił istnego piekła. Judym badał go, stukał, pukał, wyginał, kładł na sofie, gniótl, oglądał ze wszystkich stron i wypuścił, rozumie się, bez pobrania honorarium. Po tym zdarzeniu nastala cisza trwająca dobre dwa miesiące.

Pewnego dnia w marcu, znowu w godzinie przyjęć, dał się słyszeć cichy głos dzwonka. Walentowa otwarła drawi i wpuściła małą, chudą damę w czerni, o twarzy wywiędłej, suchej i mizernej.

Józef Mackiewicz

CHŁOP

– Wy co, od wywózki moza uciekacie? – zapytał idąc ciągle koło wozu z ręką opartą o drabinkę.

– Eeee... nie – odburknąłem niechętnie.

– To to i życie – westchnął. – Ot los jak kręci człowiekiem, jak tym ptaszkiem pod wiatr.

Noc. Pali się ognisko. Konie chodzą na lejcach. Kobiety śpią na wozie. Puszcza. Komary roją się bez końca, bez końca. Chłop wstawał co chwila, znikał poza kręgiem światła padającego z ogniska. Jakimś przyrodzonym węchem znajdował w tej ciemności suche gałęzie, wyrwał smolaki z karczów i podsyczał ogień. Leżeć było niewygodnie, wilgotno, korzeń jakiś uwierał bok. Czasem sowa krzyknie i komary, komary bez liku.

– Bo ja to tak zawsze mówią: człowiek, on jest podobny do drugiego, ot choćby jak ta sosna w puszczy jedna do drugiej. A podejdziesz piłować, każda inna. I wysokość i grubina, i sęki u jednej takie, a u drugiej, obacz, zdaje się podobne, a dlatego za wszystkim inne. Ot, pan mówisz, bolszewiki, a ja powiem, oni też różne są. Z daleka zdai się jedne i te same, a pogadasz, czyli zapoznasz się i niechtóre bardzo przyzwoite ludzie, a inne niegodne. Ale dużo, dużo jest sprawiedliwych w ruskim narodzie.

– Naród może i sprawiedliwy, tylko rządy u nich cholerne... – odpowiadam sennie.

– O, to co innego. Bo widzisz pan, ta cała bolszewizma nie z narodu idzie, a od Boga. To ja liczą, że to za nasze grzechy. Nie inaczej, a tak jest. Żyli my zdaje się dobrze, niczego

nie brakło, a to podeszło. Znaczący żyli, ale grzeszyli... Tfu! i tych komarów skąd ich bierze się taka siła, czuma ich wie! – Odmachnął się ręką i ciągnął dalej: – Sowieni mówią, że to przez panów cała zło, żeby panów nie było. Śmiech jeden takie gadanie. Nu dobrze, panów przegnali, to czego oni naród męczą w ta pora? Wszystko to puste gadania. Bo czy on pan, czy on cham, wszystko jedno bywa i sprawiedliwy, a bywa, że na odwrót. Ot ja panu jedna zdarzenia opowiem... Ale cości nasz ogień znowu przygasa...

Z niezwykłą dla jego wieku lekkością podciągnął nogi, wskoczył i bezszelestnie znikł poza kręgiem ogniska. Czym bliżej ranka, tym powietrze nasiąkało bardziej wilgocią. Od ziemi, co ma służyć za matkę, ciągnęło nieprzytulnym, cierpkim wyziewem ni to mchu, ni to błota, zimnem liści, trawy i igliwia.

„Kwik-kwik-kwik” – sowa.

– To widzisz pan, było tak – rozpoczął, powróciwszy z naręczem gałęzi. – Pojechał ja przed ta wojna raz na rynek, do miasta z drzewem. Stanął na Nowogródzkiej ulicy, stoją, stoją, gdzie u kogo porozbierali, a ja tak i został. – Za drogo, mówio. – Drogo to ja nie cenił, ale myślą na ostatek zbawić trzeba ceną, bo nie wracać-żeż z pełnym wozem do chaty. Taka dal. Boże strzeż! A koń u mnie był wtedy nie ten co pan teraz widzi, ale też nieważny taki koniczek... Nu, tu wyskoczyła raptownie służąca z takiej restauracji czy szynku: „Ile drzewo?” – Ja pocenił jej para groszy taniej, wzięła cały wóz. Zapłacił gospodarz tego szynku, a później mówi: przywieź mnie w niedziela jeszcze taki wozak. Myślą sobie w niedziela, to jakości nieakuratnie wychodzi, żeby handlować, no, ale w końcu przywióz. Ot, do kościoła zajść będzie okazja, dzieciom jakiegoś gościńca przywiozą, obwarzanki tam czy pierniczki jakie... No to przyjechał ja z drzewem z samego ranka, zaszed do tej, do restauracji, a tam widza, pijanych zebrało się jeszcze od wczoraj. A najwięcej buszuje oficer jeden, kapitan. To mówię panu, wstyd było patrzeć. Ludzie do kościoła idon, a on pijany w drys, wyjął swoja szablą, bije tam naczynia, no, prosto cham ostatni. Popatrzał ja tylko, plunął i poszed. Prawda, gospodarz zapłacił za drzewo aku-ratnie, wszystko co do grosza... Aha, nu... ale pan moza spać, widzę, chce?

– Jak tu spać przy tych komarach.

– To prawda, że spokoju nie dają... To wie pan, zaszed ja do kościoła. Zachodzą, a tu jak raz ranna msza. Zaczął było pacierz mówić, aż tu z boku, koło kapliczki, widza, klęczy ręce złożywszy i modli się oficer, taki sam kapitan, ale powiedzieć panu, taki samiutki. Nu ot i masz pan, dwóch oficerów i jeden taki, a drugi taki. Spojrzeć, mundury u ich jednakie. A czy można powiedzieć, że oni ludzie jednakie? Nie można.

Pociągnął nosem, próbując powietrza przed świtaniem, pogrzebał patykiem w ogniu i zamilkł.

– Czuma ich wie, jak to wszystko kończy się.

– Co to za słowo takie: „czuma” powtarza ciągle? – pytam.

– A to ot, przywyczka taka, niby to przekleństwo. To jest choroba.

– Dżuma?! Aha. Ale u nas ani tej choroby nie znają, ani nikt tak nie przeklina. To chyba na południu Rosji był, albo w Azji?

– Po prawdzie powiedziec to pan zgadł. Tam, w tych stepach nad Azowem, na Kubaniu, to wszyscy tak przeklinają. Ja, proszę pana, z carskiej armii popad do krasnej. Jeszcze jak Trocki był komisarzem wojennym. No i wojował tam dwa lata. Ale niech ich czum... to jak pan mówi?

– Dżuma.

– Niech będzie dżuma, niech będzie jaka chce choroba, ale niechaj ich weźmie. Dośćł Ot, wiesz pan, nie ochota pod sowiecka władza żyć.

– Pewnie, bieda z nędzą, pracować trzeba nie dla siebie, a...

– Nie. Nie o prace wie pan, rozchodzi się, i nie o to, że bieda. My do biedy przywykli, choć i nie porównasz z ichnia. Ale ot: żyć u nich nudno. Nudno i już.

Lwów i Wilno 1948 nr 91

Krzysztof Kamil Baczyński

MATCE

(...)

Stół biały, wigilijny, posypany mrokiem
i ona tam samotna. Płomień śniegu gasł
od chłodu, który przyniósł, i powiew

westchnienia

zatrzepotał, i stanął znów u jej ramienia
jak w tamten wieczór śmierci. (...)

Już nie ma naszych synów. Krew ich

wsiąka w śnieg.

Możeś widział ty serca ich na ulic bruku,
możeś widział schodzących na umarły brzeg,
a może roztrzaskaną matki siwą głowę? (...)

* * *

Niebo złote ci otworzę,
w którym ciszy biała nić
jak ogromny dźwięków orzech,
który pęknie, aby żyć
zielonymi listeczkami,
śpiewem jezior, zmierzchu graniem,
aż ukaże jądro mleczne
ptasi świt.

Ziemię twardą ci przemienię
w mleczów miękkich płynny lot,
wyprowadzę z rzeczy cienie,
które prężą się jak kot,
futrem iskrząc zwiną wszystko
w barwy burz, w serduszka listków,
w deszczów siwy splot.

I powietrza drżące strugi
jak z anielskiej strzechy dym
zmienię ci w aleje długie,
w brzóz przejrzystych śpiewny płyn,
aż zagrają jak wiolonczel
żał – różowe światła pnące,
pszczelich skrzydeł hymn.

Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne – „obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
zakryj groby płaszczem rzeki,
zetrzyj z włosów pył bitewny,
tych lat gniewnych czarny pył.

Zofia Nałkowska

GRANICA

9

Tego roku na wiosnę Bogutowa razchorowała się tak ciężko, że doktor z Chązębnej już nie mógł jej poradzić, musiała jechać do miasta na operację. Pani Ziembiewiczowa sama przyszła do izby za kuchnią, żeby się z Bogutową pożegnać, i dała jej pensję za sześć miesięcy, a resztę obiecała przysłać do miasta, jak tylko Justyna napisze jej adres, gdzie mieszkają.

– Ani jeden grosz wam u mnie nie zginie — powiedziała. — Bogutowa może być spokojna. A na kolej dostaniecie bryczkę, żeby wam było wygodnie jechać.

Bogutowa pani podziękowała i pocałowała ją w rękę.

Wszystko, co miały, Justyna zapakowała do jednego dużego plecionego kosza, docisnęła trzeszczące wieko, przez kółka przesunęła gruby pręt żelazny i zamknęła na kłódkę. Na drogę wzięła do małego koszyczka chleb z serem i herbaty w butelce, a poduszkę i chustkę mocno skręciła osobno i obwiązała sznurkiem.

Zaraz po obiedzie przed kuchnią zajechała bryczka zaprzężona w dwa gniade konie fornalskie, z prawej większy i chudy, z lewej mniejszy, tłusciejszy. Fornal Józef założył duży kosz na kozioł i pomógł Bogutowej wejść na siedzenie. Parę dziewczyn pokazało się przed kuchnią i każda życzyła Bogutowej szczęśliwej drogi i prędkiego wyzdrowienia. Józef wskoczył na bryczkę po kole, usiadł przy koszu bokiem i uderzył batem grubszego konia, który był leniwy.

Koło zabudowań i między opłotkami za ogrodem przejechali prędko, ale zaraz dalej droga zrobiła się piaszczysta, konie poszły stępa i zaczęły się grzać. Słońce ostro świeciło nad polami, chude żyta, pełne bławatków, stały bez ruchu i koła szorowały w piachu i gęsty kurz buchał kłębami spod bryki. Justyna coś sobie przypomniała i obróciła się, żeby popatrzeć na Boleborzę. Ale nie zobaczyła nic, ani dworu, ani podwórza, tylko same drzewa. I dopiero teraz zrobiło jej się przykro.

Jazda wydawała się ciężka i długa, chociaż do kolei była niecała mila. Bogutowa dostała na drogę proszek od bólów, ale poty ją oblewały, było jej to zimno, to gorąco. Miała na sobie czarne palto, dobrze ciasne, i

czarną koronkową chusteczkę na głowie, ale nim dojechały, wszystko na nich zrobiło się białe od kurzu.

Na stacji przesiedziały parę godzin, bo pociąg szedł dopiero w nocy. W wagonie Justyna zezuła matce buty, wypakowała poduszkę i rozłożyła chustkę na ławie. Bogutowa położyła się wygodnie, wzięła jeszcze jeden proszek i popiła zimną, słodką her-

bata, która miała smak rozmozonego korka. Zrobiło jej się przyjemnie i jak wagon ruszył, myślała, że zaraz zaśnie. Ale zasypiała tylko na chwilę, różne rzeczy jej się wydawały niby sny, niby prawda na przemiany. Justyna zamknęła okno, żeby nie wiało, i siadła przy matce w kąci, w nogach. Było prawie ciemno, obcy ludzie siedzieli naprzeciwko i drzemali. Spod podłogi słychać było wielkie huki, niby wystrzały i pioruny, tak się ten pociąg rwał, tak stękał i walił przez tę noc, jak coś żywego.

Było wiadomo, jak zwalniał, dojeżdżał do jakichś stacji, gwizdał w ciemności, natrafiał na zwrotnicę. Cała ławka przesuwiała się ku nogom Bogutowej, poduszka cisnęła mocno na głowę, jak czyja ręka. A zaraz potem ciągnęło ją znowu ku górze, jakby siedząca Justyna popychała ją w nogi na dawne miejsce. Wszystko uspokajało się na chwilę, cichło, później rozlegały się różne głosy i nowi ludzie wchodzili trzaskając drzwiami. Chcieli, żeby im ustąpić miejsca. Wtedy Justyna mówiła, że to leży ciężko chora kobieta, która jedzie do szpitala na operację. Bogutowa słyszała i rozumiała każde słowo, ale wciąż jej było dziwnie, że to się o niej tak mówi, że to ona sama jest ta chora kobieta, a nie kto inny. Ludzie odchodzili dalej, ciągnąc swoje tłumoki, a pociąg znowu zaczynał się ruszać i szamotać, łoskotać i dudnić.

Chwilami się jej zdawało, że to już może koniec na nią przyszedł, i martwiła się o Justynę, co ona będzie robiła na świecie, czy sobie sama poradzi. Myślała tak, ale była spokojna i dobrze jej było tak leżeć w tym huku i trzęsieniu, jakby to było własne, ciche i ciepłe mieszkanie. Czuliła ciągle ból w brzuchu, tylko że jakoś nieprawdźiwie, niby obok siebie. Jak gdyby tu kto drugi na jej miejscu leżał, nie ona, i czuł to wszystko, jak gdyby to tego drugiego bolało. Chciałaby, żeby się ta jazda nie tak prędko skończyła, żeby nie trzeba było wstawać i nigdzie iść, tylko tak ciągle jechać i drzemać.

Kiedy zaczęło świtać, zrobiło się nieprzyjemnie. Justyna powiedziała, że już dojeżdżają. Obuła matkę, zapakowała poduszkę do chustki i związała. Wszyscy zaczęli się ruszać i pociąg stanął. Justyna

wzięła w jedną rękę tłumok i koszyczek i zaprowadziła matkę do poczekalni, a sama poszła odebrać duży kosz z bagażu. Siedzieć na ławce było Bogutowej bardzo ciężko, ale nie wiedziała, czy może się tutaj położyć. Kręciło jej się w głowie, a kiedy spojrzała naokoło, na ścianę, na jakichś ludzi przy bufecie, wszystko ruszało się z góry na dół i ciągle zostawało na miejscu. Przymknęła oczy, żeby tego nie widzieć, i usłyszała, jak Justyna mówi, że już rzeczy są na dorozce, że trzeba iść. Myślała, że nie wstanie, że to jest niemożliwa rzecz – i wstała, i poszła, ale ją już prowadziła Justyna z jednej strony, a z drugiej tragarz. I tak ją oboje wsadzili do dorozki.

– Jak też to mama zesłała przez tę drogę – dziwiła się Justyna.

Bogutowa jechała przez miasto, w którym kawał życia przesłużyła, i nie poznawała żadnego domu ani żadnej ulicy. Chwilami robiło się jej straszno, jakby to wszystko była nieprawda, jakby jej się to wszystko śniło.

Do szpitala ledwo się dodzwoniły. Człowiek, który otworzył, zaraz powiedział, że nie ma miejsca. Dopiero jak Justyna wyjęła z torebki kartkę od chązobiańskiego doktora, uwierzył i kazał czekać, bo o tej porze jeszcze wszyscy śpią. Ale rzeczy nie pozwolił wnieść.

– Czy mama poczeka tutaj sama? – spytała Justyna i popatrzyła na matkę niespokojnie.

Bogutowa nic nie powiedziała, tylko schyliła głowę. I Justyna musiała ją zostawić, żeby zawieźć rzeczy do Jasi Gołąbskiej, bo nie mogły stać na ulicy.

W poczekalni na ławce Bogutowa jeszcze raz została sama. Przypomniało jej się, że akurat dwadzieścia lat temu wychodziła z tego szpitala na świat, jak jej się urodziła Justynka. Ale i to zaraz przestało być prawdziwe. Czują młdący, okropny zapach szpitalny, widziała przy swoich nogach kamienną, układaną w kwadraty podłogę i pomyślała, że już nie może być gorzej, jak tu być i czekać, że już lepiej umrzeć. Nagle kamienne kwadraty powiększyły się ogromnie, poruszyły, podeszły do góry, a Bogutowej zrobiło się mdło i straszno. Poczwała, że zaraz wymiotuje na tę podłogę, i straciła przytomność.

Kiedy wróciła Justyna, ten sam człowiek nie chciał jej wpuścić do szpitala, jak obcej. Ale tak płakała i prosiła, że ustąpił i nawet powiedział, jak ma iść. Justyna poszła szukać matki na oddział wewnętrzny i tam się dowiedziała, że ta chora, którą w nocy przywieźli ze wsi, już jest na sali operacyjnej. Człowiek cały w białym fartuchu, jak

kucharz, zaprowadził ją na jakiś korytarz i kazał tam czekać. Przechodziła gruba siostra w habicie i ogromnym białym czepcu i zapytała ją, co tu robi.

– Dlaczegoście ją tak późno przywieźli? – powiedziała surowo.

Justyna nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, żeby jej nie rozgniewać. I tylko spytała, czy mama jest bardzo chora.

Zakonnica wzruszyła ramionami, nie patrząc na nią.

– Na wsi zawsze czekają do ostatniej chwili i przywożą do szpitala, jak już jest za późno. Trzeba było doktora w nocy budzić.

Justyna miała taki strach w sercu, że nie śmiała o nic więcej zapytać. Stała na korytarzu, patrzyła na drzwi i myślała, co też tam oni z matką robią za tymi drzwiami.

Podeszła bliżej i nasłuchiwała, czy matka "nie krzyczy, jak ją krają. Ale nic nie było słychać, ani głosu, ani ruchu, jakby tam w środku nie było żywego człowieka.

Pomyślała, że już matki nigdy nie zobaczy, że ją tamci ludzie po cichu zamęczą. Znowu poczuła w sercu ten okropny, zimny strach. Powoli zaczęła sobie wyobrazać, co z nią będzie, jak zostanie sama na świecie. Co zrobi, jak matka naprawdę umrze? Uczwała, że płyną jej łzy po twarzy, i myślała dalej, co zrobi. Naprzód poleci do Jasi Gołąbskiej i jej pierwszej o wszystkim opowie. Mój Boże, jak też ta Jasia teraz wygląda, jak stara kobieta, w takiej biedzie, mąż ją zostawił i poszedł nie wiadomo gdzie. Kosza i tłumoka nie było gdzie postawić, tak tam mieszkają, ani kawałeczka wolnej podłogi. Zaniepokoiła się, że rzeczy zostawiła obok ich mieszkania, w sieni, bez żadnego zamknięcia, przecież mogą tam teraz wszystko rozkraść. Gdzie się podział Franek, wcale go tam nie widziała, a słyszała, że mieszkają razem. Zaciekawilo ją, co powie Franek, jak się dowie, że ona teraz jest w mieście, czy się ucieszy...

– Matko Boska, o czym ja głupia myślę – przerwała sobie z przerażeniem. I rzeczywista chwila obstała ją od razu ze wszystkich stron. Znowu słuchała i znowu za drzwiami była cisza śmiertelna.

Czasem jakiś człowiek przeszedł przez korytarz i każdy przechodząc na nią popatrzył. Bała się już teraz ich pytać, tylko powtarzała w myśli: „Boże, Boże”. Myślała, że to już koniec świata na nie obie nastal, że już nie ma żadnego ratunku. Jeszcze jakiś przechodził w białym fartuchu i powiedział, że nie wolno tu stać, żeby poszła do poczekalni. Udała, że idzie, ale jak tamten poszedł, znowu wróciła pod te

drzwi. Była tak zamyślona, jakby na stojący zasnęła. I kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, odskoczyła od nich nieprzytomnie, nie rozumiejąc, co się stało.

Wyszło ich kilku, złych i prędko mówiących. Najstarszy, z łysą głową, doktor, jakby się od nich opędzał. Obok niego szła zakonnica:

– Do samej tej chwili puls był dobry – mówiła prędko. – Słaby, ale dobry...

Starala się jakby przebłagać za coś doktora, coś jeszcze uratować.

– Od razu było widać, że to beznadziejny wypadek – takim samym tonem mówił ktoś drugi. – Przywożą w ostatniej chwili...

– To córka tej kobiety.

– O Jezusie, Jezusie, mama nie żyje! – krzyczała Justyna. Doktor odwrócił się, popatrzył i poszedł dalej. Przy Justynie stała siostra i trzymała ją za ramiona.

– Cicho, dziecko, cicho, nie można tak krzyczeć – powtarzała odciągając ją gdzieś dalej. I pytała, gdzie mieszka, czy ma tu jaką rodzinę.

– Nikogo nie miałam – zawodziła Justyna – tylko tę jedną mamę. Same byłyśmy na świecie.

Wydarła się z trzymających rąk zakownicy i wpadła do dziwnego, straszego pokoju. „Może jeszcze żyje, może jeszcze trochę żyje” – myślała. Zatchnęła się od duszącego smrodu eteru i chloroformu. Ciało leżało na żelaznym stole pod białą płachtą. Wszystko powalane było krwią i w kubie były jakieś rzeczy pełne krwi. Odjęła ze strachem płótno z głowy, pocałowała matki twarz. Była ciepła jeszcze i miękka, ale inna, niż gdyby spała. Wygarnęła grubą, białą rękę spod prześcieradła i ręka też była ciepła i miękka, ciężka i bezwładna, każdy palec opadał osobno. Ktoś tu sprzątał nic nie mówiąc. Dwaj posługacze weszli we drzwi z czymś drewnianym, jak długie taczki na kijach, postawili to na ziemi i przystąpili do matki. Prędko, bez słowa, wzięli ją, jeden pod plecy, drugi pod nogi i, zakrytą, położyli do drewnianego pudła. Justyna podetkała pod głowę umarłej trochę prześcieradła i szła za tymi ludźmi przez korytarz, przez schody, przez ogródek z ławkami i dziedziniec aż do drzwi trupiarni, gdzie jej znów nie dali wejść. Ale zobaczyła, że tam było więcej umarłych, leżeli rzędem wysoko na deskach, widać było ich gołe podeszwy z podgiętymi, krótkimi palcami.

Postała jeszcze pode drzwiami, póki ci ludzie nie wyszli niosąc puste nosze. Wtedy trochę odeszła i siadła na ławce blisko dziedzińca. Chciała płakać, ale łzy nie szły, tylko stały w gardle, twarde i suche.

Było wczesne rano, pogoda. Zawiewał lekki chłodek, cały świat wyglądał spokojnie, jakby nic takiego się nie stało. Justyna zamknęła oczy, piekły ją powieki i mocno bolała głowa. Pomyślała, że jeszcze wczoraj o tej porze były obie w Boleborzy i mama jeszcze była żywa. Przypomniała sobie, jak jechała przy niej na bryczce, jak spokojnie drzemała w wagonie. Wydało się jej, że jeszcze jedzie, że tak siedzi przy mamy nogach na ławce wagonu, budzi się i zasypia. Zjawiły się jakieś twarze nieznanymi ludźmi, zrobiły się paskudne i zniknęły. Potem ktoś powiedział w niej samej: „prędko, prędko, prędko”, i także znikł.

Gdy się ocknęła, zobaczyła, że siedzi przy niej na ławce ta sama zakonnica w białym czepcu na głowie, i bardzo się zdziwiła. W ogródku pełno było słońca. Po ścieżce, pod niedużymi zielonymi drzewami chodzili ludzie w jednakowych niebieskawych chałatach. Niektórzy stawali i rozmawiali.

– Zasnąłaś, dziecko – powiedziała siostra i uśmiechnęła się. Nie była jeszcze stara i wyglądała na dobrą kobietę. Spytała Justyny, czy ma trochę pieniędzy.

– Pogrzeb musi być prędko, bo upał i ciało się psuje. Jakbyś teraz zaraz poszła po trumnę, to ciało jeszcze na noc będzie ustawione w kaplicy.

Justyna poczuła zimno w środku i zaczęła płakać. Teraz dopiero zrozumiała, że to wszystko jest prawda. Obróciła się i płacząc patrzyła na trupiarnię, nieduży budynek z drzewa i bez okien.

– Jesteś taka młoda – powiedziała zakonnica. – Pan Bóg cię pocieszy.

Justyna zaprzeczyła głową. Wiedziała, że już nic jej nie pocieszy nigdy, że matka nie ożyje i ona już na całe życie będzie sama.

Podniosła się i poszła, gdzie jej powiedziała zakonnica, do stolarza, który zaraz niedaleko szpitala miał sklep z gotowymi trumnami. Stamtąd musiała znowu iść zamówić karawan, żeby był jutro raniutko przed szpitalną kaplicą. Później wróciła na ulicę Staszica do Jasi Gołabskiej, powiedziała jej teraz już naprawdę o swoim nieszczęściu i poprosiła, żeby poszła z nią razem na cmentarz wybrać miejsce na grób.

Gołąbska zrobiła porządek koło starej Borbockiej, a potem wyniosła na podwórze swoją małą i zapowiedziała, żeby się grzecznie bawiła. Justyna dopiero teraz spostrzegła, że dziewczynka nic prawie nie widzi.

– Co to jej się zrobiło z oczami? – spytała.

– Z tej ciemnicy – odpowiedziała Gołąbska. – No i nerwy, odżywienie, to wszystko na oczy pada.

Od ulicy Staszica do cmentarza było chyba ze trzy wiorsty. Szły i szły. Justyna myślała, że nie dojdzie. I Gołąbskiej także było aż słabo od gorąca. Mówiła, że taka nagła śmierć jak pani Bogutowej to najlepsza dla człowieka, przynajmniej siebie i drugiego nie umęczy. Jej matka już drugi rok się morduje, po nocy stęka, co i raz to się poruszy, nie można ani spać, ani nic. Koło siebie sama niczego nie robi, trzeba po niej wynieść, uprać, wszystko oporządzić. Ze czasami to już i życie niemiłe.

– Jak starego człowieka Pan Bóg zabierze, to jest jego prawo umrzeć. Ale jak dziecko umiera, to gorzej żal.

Na cmentarzu wybrały tanie miejsce, puste i gołe, daleko od bramy i od kościoła. Justyna myślała, że mamie tu nie będzie dobrze, i znowu zaczęła płakać.

– Umarłemu to jest wszystko jedno, gdzie leży. Czy tu, czy tam, pod ziemią w dole nie ma różnicy – pocieszyła ją Gołąbska.

Poszły potem w drugą stronę cmentarza i Jasia znalazła tam nieduże groby swoich dzieci. Nie była całkiem pewna, ale tak jej się zdawało, że to tu. Prawie wszystkie groby były jednakowe, mało który miał krzyż na sobie. W piasku rosła wyżółkła uschła trawa.

– Ten drugi – mówiła – to od małego był cały słabowity.

Kto go zobaczył, to każdy powiedział, że to jest dziecko do wymarcia. Ale Stefanek dobrze się chował. Chorował ciągle i zawsze wyszedł, taki miał mocny organizm. Już mu było na ósmy rok, jak z niczego dostał tej gorączki. Jeden dzień czterdzieści stopni, drugi dzień czterdzieści stopni, zrobił się całkiem nie-władny, co się do niego mówiło, nie rozumiał. Doktor z Opieki przyszedł i mówi, że to dziecko ma zapalenie płuc i żeby go zaraz wziąć do szpitala. A w szpitalu doktor pyta: „To panirie to dziecko?” Powiadam, że moje, a on dopiero mówi: „Niech go pani zabierze do domu, niech ono skona spokojnie”. Podobno się nie poznali, że to było zapalenie mózgu. Więc go wzięłam na powrót i przywiozłam do domu. Zaniemowił, oczy w kole, patrzył przed siebie i nie widział. Całą noc tak wył jak pies, aż ludzie z kamienicy przysyłali, żeby ucichł. W ciężkich męczarniach skonał.

Na chwilę ukłękły na ciepłym piasku i pomodliły się. Ale wstały, bo Justynie było spieszno, żeby jeszcze mamę zobaczyć, jak ją będą kładli do trumny. Gołąbska pogrzebała w trawie na grobie, odrzuciła na ścieżkę parę suchych patyków i popatrzyła na to miejsce.

– Szcześliwa jestem, że mi te dzieci umierają – odezwała się nagle zamyślona. – Pan Bóg wie, co robi. Jak ja bym sobie dzisiaj z czworgiem radę dała.

– Co też Jasia mówi, co Jasia nie myśli – upomniała ją Justyna. I pocałowała jej mokry od łez, wpadnięty policzek.

Zawróciły do miasta. Justyna chciała myśleć o matce, chciała sobie dobrze przypomnieć, że już jej nie ma, że jest teraz sama na świecie. Ale wciąż jej coś przeszkadzało. Chudy koń ciągnął ulicą wóz z ceglami i nie mógł dać rady pod górę, aż się obejrzała, czy wyjedzie. Zaraz potem przeleciał prędko wielki samochód z panem i panią i przyszło jej na myśl, czy to czasami nie jest samochód z Chązebnej. W dole, bliżej placu Narodowego, zaczęły się większe kamienice ze sklepami i ludzi było gęsto na ulicy. A jeszcze przez całą drogę Gołąbska mówiła o swoich sprawach.

– Od kiedy ten mój mąż ukochany ode mnie uciekł, to co mam robić, sama już nie wiem. Chodziłam i ja wszędzie, jak każdy, ale co z tego? Nic. Co się tam dzieje rano przy magistracie,

cie, to strach. „Co to pani myśli, że pani jedna?” Siedzą tam sobie przy stolikach, pensje biorą, to co ich ludzie obchodzą. Niedawno dwóch przy mnie zemdląło z głodu, jak czekali w kolejce – to co im do tego? Pogotowie ich zabrało i już. Będzie mniej. I prawda, różnych rzeczy na świecie jest mało, ale ludzi to zawsze dosyć.

Roześmiała się na głos nie wiadomo z czego i dodała:

– Już tam teraz nawet nie chodzę, nie warto się na próżno mordować. Kto na mnie spojrzy i tak mnie do roboty nie weźmie. Każdy mówi: gruźlica i już.

Weszły do domu i Justyna wypakowała najlepszą matki suknię, czarną z aksamitem na przodzie i przy rękawach. Jeszcze Jasia z nią poszła do szpitala i razem we dwie umyły i ubrały Bogutową do trumny. Ciało już zeszytniało, ręce nie chciały się dobrze zginać i Justyna poszła do zakonnicy po nożyczki, żeby rozciąć z tyłu stanik. Zdążyły akurat z tą robotą, jak przynieśli od stolarza trumnę. Ludzie przenieśli ciało z trupiarni do szpitalnej kaplicy jak bądź, raz nogi, raz głowa była

nizej. I Justyna myślała, że to już nie jest ona, ta sama jej matka, już to jest coś, co można tak zamknąć wiekiem i tak nieść jak jaką rzecz.

Cały ostatni dzień zeszedł Justynie na chodzeniu. I więcej myślała o wszystkim, co ma zrobić, niż o matce. Dla niej to robiła, a jej nic już z tego nie przyszło. Jak wszystko popłaciła, to się przekonała, że pogrzeb musi być bez księdza, że już na to nie starczy. I to ją także zasmuciło, choć i to dla matki było wszystko jedno.

Od wczoraj Justyna nie pomyślała, żeby co zjeść. Zimno jej było w środku i tak się w niej wszystko trzęsło, jakby była chora. Różne myśli ją oblegały, głównie o rzeczy, żeby ich kto nie ukradł z piwnicy, a także, że u Jasi nie będzie mogła zostać, najwyżej na jakie dwie noce, bo nie ma u niej ani miejsca, ani nic. Dziwiła się, że tym ludziom aż na to przyszło, na taką biedę, nawet jeść co nie mają.

– Wszystko było dobrze, póki jeszcze Franek pracował – mówiła Jasia – bo z tego chłopaka jest dobry brat i dobry syn. Ale się i on popsuje bez roboty, już ja to widzę. Już się i o niego policja wzięła przepytwać.

Justynie z całych pieniędzy zostało tylko parę złotych i za to z Jasią kupiły ćwierć kilo mięsa, słoniny i kartofli. Dawniej Go-łąbska dostawała z komitetu dwa obiady, ale teraz wydają tylko jeden. I tym jednym obiadem muszą się we trzy z matką i z małą najeść na cały dzień. A to już ostatni miesiąc, bo zapowiedzieli, że od pierwszego przestaną wydawać.

Mieszkanie Gołąbskiej było na samym końcu piwnic i trzeba było przejść niziutkim, ciemnym korytarzem pod całą kamienicą, żeby tam dojść. Justyna szła za Jasią z przykucniętymi kolanami i nachyloną głową i aż ją poty oblały ze strachu w tej ciemnicy. Jak tu dziś rano pierwszy raz przyszła, to się zdziwiła, że można tak mieszkać. W pokoiku czuć było naftą i dymem, mała lampka paliła się na ścianie – blisko przez cały dzień. Koło łóżka ledwo się można było przycisnąć. Tylko przy samych drzwiach było trochę miejsca i tam stał piecyk, kubeł z wodą i drugi kubeł na pomyje, a obok małe krzeselko z oparciem dla małej, która jeszcze sama nie chodziła. Nad kubłem wisiało na ścianie ubranie, owinięte prześcieradłem od kurzu i sadzy, która leciała z rury, kiedy piecyk dymił. W drugim rogu wysoko było okienko z żelaznymi prętami. Do tego okienka szły zrobione jakby schody z desek, czysto wyłożone gazetą. Nisko stały garnki, szklanki i talerze, a na najwyższej desce pod oknem dwie doniczki z kwitnącą „panną młodą”,

która nie lubi za dużo światła. Justyna usiadła wysoko na brzegu łóżka, obok chorej pani Borbockiej, patrzyła na Jasię, jak się uwija w tej ciasnocie. Aż ją zemdliło od swędu słoniny, która zaczęła strzelać na piecyku. Taka była głodna.

Gołąbska dała jeść matce do łóżka, nakarmiła małą, a dla siebie i Justyny ustawiła talerze na krzeselku i śmiała się, że się już dawno wszystkie tak nie najadły.

– Weź, weź jeszcze, Justynko, boś głodna – częstowała ją grzecznie. Ale od ostatniej resztki mięsa odkroiła dobry kawałek i dodała małej, żeby zjadła.

Potem na krzeselku postawiła miskę i zmywała statki, a Justynie dała ścierkę do wycierania.

– Szczęśliwa jestem – mówiła swoim grubym głosem – że już sobie ten łajdak naprawdę poszedł. Przynajmniej mam spokój i nikt mi po pijanemu w mieszkaniu krzyków nie wyprawia.

Kobieta to jest głupia. Po co jej iść za męża, co ona z tym chłopem użyje? Tylko żeby te dzieci jedno po drugim umierały. Zmarnuje się, zdrowie straci. Czy jej to potrzebne?

Pani Borbocka, jak zjadła, zaraz zaczęła drzemać. Nie odzywała się nic, tylko czasem stęknęła, otwierała oczy i patrzyła to na Justynę, to na córkę. Może już i niewiele co rozumiała z tej ciągłej choroby.

– Ale kto mógł myśleć, że to jest taki łobuz, wcale niezdatny na męża, czy on wtedy na to wyglądał? Z początku udawał dobrego. Jeszcze nawet jak tę posadę stracił i to się zawsze starał, był spokojny, nie pił, gdzieś dorywczo zarobił. Dopiero jak się zadał w tę szajkę, pokazało się, co za człowiek. Gdybym nie była głupia, może byśmy i do dzisiejszego dnia siedzieli w Chązebnej. Może by i tatuś nie był umarł.

Nie przestając mówić naląła na szmatkę trochę wody z buteleczki, uklękła przy małej i przemyła jej tą szmatką oczy. Dziecko wrywało się i płakało.

– Widzisz, jaka jesteś niegrzeczna. Żebyś nie płakała, toby cię oczki zaraz przestały boleć.

Wzięła małą z krzeselka, rozebrała, wysadziła na kubeł i podeszła z nią do łóżka.

– Niech no się mama trochę posunie – powiedziała. Poklepała poduszkę z boku, odchyliła kołdrę i położyła dziecko obok chorej. – Przeżegnaj się grzecznie, o tak. I śpij, no śpij, nie marudź.

Przykręciła lampkę, że ledwo został mały płomyczek, i zaczęła się rozbierać po ciemku.

– Co tej małej z tego, że grzecznie będzie spała albo że się przeżegna – pomyślała Justyna. – I tak, tylko patrzeć, umrze jak tamte. Świata już nie widzi.

– Łobuz, nawet nie ma mowy – mówiła teraz Jasia. – Wykolejeniec z życia, w tę bandę oszustów należący. Co oni nie wymyślą, takie kanciarze. Brali zamówienie na portrety z fotografii albo na prenumeratę, po siedem złotych od książki. A wszystko to oszustwo. To ile oni mieli pieniędzy. Boże kochany! Pił z nimi i sam się zrobił potajemny oszust. Całe życie skądś te pieniądze bierze, zawsze coś wycyгани, do domu, jak się należy, nie przyjdzie, w szynku gdzie pije.

Justyna nie widziała dobrze twarzy Jasi. Miała doły w oczach i pod nosem, jak trupia główka.

– Jak nie ma gdzie ukraść, to do tego stopnia już przyszło, że zbiera na pogrzeby i za życia ludzi chowa. Powie, że mu żona umarła, że nie ma na trumnę – i zawsze mu kto co da. Ma sumienie na pogrzeby żywych zbierać! Mamę to już dwa razy pochował. Potem taka jedna pani, co ją naciągnął, tu do mnie przychodzi i widzi, mama leży, nie umarła, to pyta się, co to znaczy. Z takiego rodu nie wychodzę, żebym ja kłamała. Mówię jej: „Oszust jest, proszę pani, i już, złodziej, tylko go oddać do policji, niech gnije w więzieniu@.

Ucichła na chwilę i potem powiedziała:

– Ale w więzieniu go nie ma, chodziłam się dowiadywać. Ani w więzieniu, ani w policji, ani nigdzie. Widać poszedł gdzie w inne strony, gdzie go tam nie znają. Uciekł.

Gołąbska wstała i znowu wykręciła lampkę, aż się zrobiło całkiem jasno. Wyszła na stopień, zamknęła okienko, żeby się mała w nocy nie przeziębila, i zrobiła Justynie miejsce w nogach łóżka. Justyna wyjęła poduszkę i chustkę z tłumoka, posłała sobie i jakoś się tam zmieściła. Wtedy Gołąbska zgasiła lampkę na dobre, napiła się jeszcze po ciemku wody i weszła do łóżka z brzegu.

Przed zaśnięciem Justyna zobaczyła znowu jakieś małe, nieprawdziwe twarze i śmieszne figurki ludzkie. Pokazały jej różne mihy i znikły. Przez sen czuła nogi Borbockiej, słyszała jej stękanie. Obudziła się w nocy, było gorąco i duszno. Bolały ją wszystkie kości, ale bała się rozprostować. Przyszło jej nagle do głowy to, co Jasia mówiła, że starych ludzi prawo jest umierać. Dlaczego? Chyba jej nie szło o tę trochę

jedzenia i robotę przy rodzonej matce. Ale może chciała mieć wolne łóżko, żeby się na nim raz dobrze wyciągnąć i wyspać. Zrobiło jej się strach i tak jej się wydało, że ktoś obcy jest w tym pokoju. Znowu spała i obudziła się, gdy było szaro. Wtedy zobaczyła, że przy łóżku na ziemi leży mężczyzna. Nie na sienniku ani na jakiej płachcie, tylko tak, na podłodze. Domyśliła się, że to jest Franek, który nie co dzień przychodził na noc do domu. Widać to jego miejsce w łóżku ona zabrała. Było jej nieprzyjemnie, że tak przez nią leży na ziemi, i wstyd. Dopiero rano zapadła w sen na dobre

i przyśniło jej się, że mama nie umarła, że są obie w Boleborzy razem z Zenonem i że Zenon ją całuje.

Na drugi dzień raniutko odbył się pogrzeb Bogutowej. Za trumną szła z Justyną Jasia Gołąbska i Franek Borbocki, a dalej Balinowska i Chaśbina. Dozorczytni Ignacowa poszła tylko kawalek, ale zawróciła z drogi, bo miała przy domu robotę.

Justyna całą drogę myślała, jakie to mama miała życie. Mój Boże, wciąż tylko przy blasze i przy blasze, nigdy nawet nie widziała, co to było gdzie pójść. Tylko te jedne parę miesięcy w Chażebnej u Borbockich żyła jak człowiek, od rana się ubrała, poszła gdzie, posiedziała w ogrodzie. A tak to całe życie zawsze przy kuchni, przy ogniu, przy tym ciągłym gotowaniu.

Na cmentarzu znowu się Justynie przykro zrobiło, że nawet nie ma księdza. Całe życie pracowała, a wszystkiego cztery osoby stoją, jak ją kładą do grobu. Tamci wszyscy, co im gotowała, czy choćby nawet o niej pomyśleli? Nikt. Mogła sobie umrzeć, jak sobie wzięli drugą. Lepiej, że człowiek nie wie, jaki ma pogrzeb.

Witold Gombrowicz

OPĘTANI

A Maja po raz trzeci odczytywała list Cholawickiego. Iść czy nie iść? W normalnych warunkach wzruszyłaby tylko ramionami... Ale tym razem coś jej kazało liczyć się z narzeczonym.

Chciała pogodzić się z nim, ustalić na powrót stosunek, zyskać w nim oparcie. Cholawcki był jednak elegancki, z jej świata–Maja odczuła

gwałtowną potrzebę pogodzenia się z tym poprawnie wyglądającym mężczyzną, tego samego, co ona, środowiska.

A przy tym rozpierało ją pragnienie działania. Musiała coś robić, taką już miała naturę, że kiedy była poruszona i wstrząśnięta musiała natychmiast wyładowywać się w działaniu. Więc zdecydowała się pójść i kiedy zmrok nadciągnął, po kolacji wymknęła się z domu w gabardinowym płaszczu, z latarką elektryczną w kieszeni.

Zresztą psów nie potrzebowała się obawiać – znały ją – i mogła wrocic nawet bardzo późno w nocy nie ściągając niczyjej uwagi, gdyż umówiła się ze służącą Marysią, z którą była w przyjaźni, aby, gdy zastuka, wpuściła ją przez okno.

Maja zapuściła się w las między chojary, zupełnie czarne po nocy. Pogwizdując, prędko i nerwowo posuwała się naprzód pośród nocnych tajemnic lasu i wpadła w świetny humor.

Noc i las podniecały ją, sprawiały przyjemność, a zarazem uspokajały, tępiły męczarnie ambicji i podrażnionej dumy.

Ale gdy wynurzyła się z lasu na skraj wielkich moczarów podzamcza, zdjął ją leciutki dreszczyk. Przejmująca była beznadziejność tej okolicy.

Białawe tumany mgieł snuły się nad rozlewiskiem wód, nad bagnami, porośniętymi trzciną, nad kępami krzaków. Nie było końca temu pomieszaniu żywiołów ziemi, wody i mgły, w którym wzrok tonął i gubił się, nie mogąc znaleźć oparcia.

Mgły dochodziły prawie do podnóża murów, samotnych i wyniosłych, jak zawsze. Szczekanie psów w oddali brzmiało przeraźliwie, jak głos cierpienia.

Maja nie bała się niczego, co mogło ją spotkać w życiu, ale bała się śmierci. A zamek pusty i nie zamieszkały pośród wód, mgieł i błot był dla niej śmiercią – był istnieniem kończącym się, skazanym na zagładę, oszalałym od własnej wielkości, upadającym pod brzemieniem wieków, była to dogorywająca starość.

I nie bez trwogi dojrzała samotne światełko w oknie narożnej baszty. Mimo to ruszyła naprzód.

Szła teraz groblą i zaraz owionęła ją charakterystyczna wilgoć mgły. Tutaj należało uważać. Nietrudno było zmylić drogę i znaleźć śmierć na zdradnym gruncie, podmokłym i miejscami przechodzącym nieznacznie w bagno.

Dopiero po trzech kwadransach uciążliwego pochodu dotarła do stoku góry zamkowej. Właściwie góra ta tylko na tle absolutnej równiny, z której wyrastała, mogła być zwana górą. W rzeczywistości – wzgórze, nie przekraczające 50 metrów. Ale to przynajmniej było dobre, że ustało drobne błotko, czepiające się nóg.

Z bliska zamek majaczył się poprzez mgłę bardziej jeszcze niesamowicie – coś nieprawdopodobnego zawierało się w fantastycznym, średniowiecznym gmachu z jego wykuszami, blankami, strzelnicami i gontem krytymi basztami. Tu i ówdzie w murze widniało zwykle okienko z szybami jak w domu mieszkalnym, a także niestylowe, brzydkie szczegóły uwydatniały wyraźniej starość pleśniącego gmachu.

Maja zaczęła poruszać się z większą ostrożnością. Im bardziej wznosił się grunt, tym mgły stawały się rzadsze, a przy świetle księżycy nietrudno było dostrzec jej sylwetkę.

Na szczęście tuż przed nią ukazała się kępa krzaków – tutaj było wejście do podziemnego korytarza, który drugim końcem łączył się z jedną z piwnic zamkowych.

Kiedys Cholawicki przeprowadził ją tym przejściem, więcej dla żartu, niż w poważniejszych zamiarach. Właściwy wylot korytarza przypadał o wiele dalej stąd, w lesie – ale tamta część była nie do przebycia od niepamiętnych czasów. Któryś z późniejszych właścicieli zamku połączył korytarz ze światem w tym miejscu, doskonale zamaskowanym krzakami i prawie niedostępnym.

– Po co? – myślała Maja. – Może tędy przychodziła do niego kobieta?

Przedzierała się przez gąszcz, póki nie natrafiła na wąskie schodki. Zapaliła latarkę – znalazła się w ciemnym lochu, pokapującym wilgocią – płosząc szczury,

Znów schodki, tym razem wiodące w górę i oto sklepiona piwnica. Cholawicki podbiegł do niej.

– Dziękuję. – wyszeptał.

Musiała odetchnąć. To przejście było pomimo wszystko emocjonujące. Poprowadził ją krętymi schodami na górę.

Minęli parę komnat parterowych doszczętnie zrujnowanych i nagich, po czym znów wstąpili na schody, tak wąskie, że zaledwie jeden człowiek mógł się przycisnąć.

Jeszcze jakaś sień olbrzymia, pusta i zimna – i weszli do niewielkiego pokoju, oświetlonego lampą naftową. Na kominku dogasał ogień. Dwie

szafy, stół, parę krzeseł, łóżko w kącie – takie było jego spartańskie umeblowanie. Ale w każdym razie był to pokój zamieszkały – i Maja stanęła pośrodku z uczuciem ulgi.

– Pijesz? – powiedziała, widząc na stole kilka butelek. Podeszedł do drzwi i uchylił je nieco.

– Musimy się zachowywać cicho – rzekł półgłosem. – Czy zdajesz sobie sprawę gdzie jesteś? Ten pokój wypada mniej więcej w połowie południowego skrzydła. Sześć dużych sal przedziela go od pokoju księcia, który mieści się w tzw. „Dorotce”, to jest w południowo-zachodniej baszcie. Umyślnie zostawiam drzwi uchylone, gdyż nigdy nie wiadomo, czy nie wyjdzie ze swego pokoju. W takim razie musiałybyś zejść na dół. Grzegorz, kamerdyner, mieszka zupełnie w innej stronie.

– Podziwiam twoje nerwy! – rzekła dziewczyna zasłuchana w straszliwą ciszę.

– Dziwisz się, że piję! – wybuchnął. – Gdybym nie pił, oszalałbym jak ten staruszek! Ty nie masz pojęcia, co to jest przebywać dniem i nocą w tym przeklętym miejscu i być zdany na wszelkie kaprysy szaleńca. Ale to już niedługo potrwali!

Ostatnie słowa wypowiedział z taką radością, że Maja odwróciła twarz od ognia.

– Czyżby było już tak źle? – zapytała.

– Tak! – odparł. Stan jego nerwów pogarsza się widocznie, a to dowodzi osłabienia organizmu. Wczoraj w nocy, kiedy wróciłem z Polki, zrobił mi okropną awanturę, płakał, jęczał, że go opuszczam... nie będę mógł wydaleć się teraz z zamku nawet na godzinę, muszę tu siedzieć – ale to już niedługo – i potem wypłyniemy na czyste wody!

Przyciągnął ją do siebie.

– Wiedziałem, że przyjdiesz! Ani na chwilę nie przypuszczałem, żebyś mogła na serio ze mną się pokłócić! Jesteś do mnie przywiązana! Musisz być przywiązana do mnie, gdyż rozumiemy się – oboje jesteśmy trzeźwi, sprytni i odważni. Z nas jest para! Kiedy my zabierzemy się do czegoś, to musi się udać! Ja jestem tym, którego ty potrzebujesz! Nie zawracajmy sobie głowy drobiazgami.

Wysunęła się lekko z jego objęć.

– Czy aby nie spotka cię rozczarowanie? – rzekła. – Mówię o księciu. Przecież to człowiek niespełna rozumu.

– Testament zrobiony. Żadnych spadkobierców ani krewnych. A o tym, żeby coś zmienił, nic ma mowy.

W tej chwili Cholawicki nadstawił uszu.

– Zdawało mi się, że woła. Nie możesz sobie wyobrazić jaki się zrobił męczący od tej podróży do Warszawy. To go niesłychanie nadszarpnęło – postarzał się o dziesięć lat. Tak, testament już zrobiony i nikt nie ma formalnych podstaw do obalenia go. A zresztą komuż by się chciało narażać się na proces – dobra są obdłużone – ja jeden tylko wiem, że z majątku można jeszcze coś wyciągnąć. Wszyscy myślą, że zupełnie bankructwo. No co – gniewasz się?

Ujął ją za rękę, ale cofnęła się gwałtownie.

– A to co? – rzekł, marszcząc brwi.

– Nic.

– Nic kochasz mnie?

– Nie.

– To dlaczego jesteś tutaj?

– Ze względu na interesy!

Roześmiał się. To mu się podobało. Lubił ten ton jej, ostry, bezwzględny – tym go brała. Ani na chwilę nie wąpił w jej miłość – zanadto był pewny swoich zalet. Ale podobało mu się, że nigdy się nie „rozkleja” i nie roztapia w sentymentalizmie.

A Maja znając jego absolutną pewność siebie z tym większą przyjemnością mówiła mu najgorsze rzeczy. Zresztą wołała stokrotnie ten chłód, trzeźwość i szczerosć z narzeczonym, niż tamto straszne, zawstydzające „rozklejenie się” w szafie!

Znów wziął ją za rękę i tym razem nie wyrывała się. Lecz nagle owładnęło nią z taką siłą wspomnienie Leszczuka, że zbladła i zamknęła oczy, a drugą ręką kurczowo uczepliła się stołu.

– Kochasz! – szepnął przyciągając ją. – Kochasz!

– Zostaw mnie! – wykrzyknęła.

W tej chwili doszło ich słabe wołanie: – Henryś! Henryś!

Ten głos starczy i drżący skądś, z amfilady pustych komnat, przeraził ją.

– To księżę! – syknął. – Muszę iść. Poczekaj!

Wyszedł spiesźnie. Maja została sama. Usiadła i jakiś czas wpatrywała się w dogasający ogień na kominku, którego blaski różowiły jej twarz.

Dopiero gdy odszedł zrozumiała, iż rzeczywiście dłuższy pobyt tutaj musiał wyczerpać najsilniejsze nerwy. Ani las w nocy, ani podziemny

korytarz nie wywołały w niej takiego niepokoju –jak to olbrzymie nagromadzenie nie zamieszkanymi komnat.

Zmysły jej podniecone do ostateczności łowiły każdy szelest, powstający w . najdalszych zakamarkach gmachu, żyjącego osobnym życiem...Coś tam się kru-| szyło... coś skrzypiało niekiedy... a wielki szcur ukazał się w półotwartych drzwiach i znikł natychmiast.

– Ach! – pomyślała. – Po co ja tu jestem?!

Zaczynała bać się nie tylko zamku, lecz i narzeczonego. Dotychczas nie zastanawiała się specjalnie nad jego pobytym tutaj. Wiedziała, że był sekretarzem księcia i jedynym człowiekiem, którego znosił stary dziwak, oprócz kamerdynera Grzegorza. Wiedziała, iż Cholawicki ma nadzieję na uzyskanie w spadku po nim kilkunastu folwarków, stanowiących resztę dóbr mysłockich, które to dobra były mniej zrujnowane, niż na ogół sądzono. To wszystko można było wytrzymać. Narzeczonego miała za człowieka twardego i bezwzględnie, ale – w zasadzie – przyzwoitego.

Mógł udawać przywiązanie do księcia w celu owładnięcia jego majątkiem,ale nie był chyba zdolny do niczego... do żadnych takich czynów, jakie podsuwała ponura i demoniczna atmosfera zamku.

Rzeczywiście–jeżeli ktoś tu dłużej pobyl, to same przez się musiały go nawiedzać myśli o zbrodniach i czynach złych, okrutnych i morderczych. I na to, żeby tu w ogóle wytrzymać, trzeba było niesłychanej odporności, a zarazem niesłychanej namiętności.

Maja uprzytomniła sobie, że dotąd nie doceniała siły Cholawickiego.

Przebiegł ją lekki dreszczyk. Przez uchylone drzwi zajrzała do następnej komnaty – panowała w niej ciemność, tylko z okien szedł słaby odbłask – w kątach szeleściły szczury i wiało pustką. Zastłuchała się w zamek, w rozległą gamę tajemnych szeptów i szelestów. Nietoperze krążyły za oknami.

– Te mury – pomyślała – muszą mieć z półtora metra grubości. Wtem z daleka błysnęło światło. Cofnęła się szybko.

To Cholawicki wracał od księcia i po chwili ukazał się z latarką w ręce.

– A co? – zapytała.

– Nic! On drzemie mniej więcej przez całą dobę. Co parę godzin się budzi, a wtedy woła mnie, żeby sprawdzić, czy go nie opuściłem.

– To musisz do niego chodzić i w nocy?

– A naturalnie! Ale już niedługo!–nalał sobie kieliszek.– Może ty chcesz?

– Daj – powiedziała.

Wziął butelkę, ale znieruchomiał z kieliszkiem w dłoni. Zbladł.

– Co ci jest...

– Tsss... Ktoś jest w zamku.

– Gdzie?

– Cicho. Już ja mam ucho. Na pewno ktoś jest – obcy.

Ręka zaczęła mu drżeć,aż płyn wylewał się z kieliszka. Wytężyła słuch,ale nie zdołała rozróżnić nic szczególnego.

– Zdaje ci się – szepnęła, ale on spojrzał na nią nieprzytomnie. Na pewno... na pewno ktoś jest...

Wtem drgnęli oboje. W ciszy usłyszeli z szaloną wyrazistością krzyk księcia – pięć czy sześć wykrzykników nabrzmiących szaleństwem, przesywających, piskliwych.

– Franio! Franio! Franio! Franio! Franio!

– Co to?! – wykrzyknął Cholawicki. Porwał browning i latarkę.

Maja pobięła za nim, nie zostałyby tutaj sama za nic! Przebiegli pędem przez puste sale. Dopadł pokoju księcia i zniknął za drzwiami.

Usłyszała jego uspokajający głos oraz przeciągły .ręczący, bezsilny płacz starczy, który zaraz przeszedł w kaszel. Schroniła się we framugę okna, żeby nikt nie mógł zaskoczyć jej z tyłu. I znowu usłyszała jęk:

– Franio! Franio!

Cholawicki wrócił, ale dał jej tylko znak ręką, by zaczekała i pobięł w głąb zamku. Dopiero po dłuższym czasie zjawił się z powrotem – twarz jego zdradzała poważne zaniepokojenie.

– Ktoś tutaj był. On zobaczył kogoś! Dlatego krzyczał. Ten ktoś musiał wejść do sypialni, zbudził go, a kiedy staruszek zaczął krzyżeć, uciekł. To musiał być młody chłopiec. Książę ma taką manię – marzy mu się jakiś Franio! Nie znosi młodych chłopców, gdyż oni przypominają mu tego Frania. Zresztą tu jest dowód, że ktoś był. Patrz, znalazłem scyzoryk.

Położył na stole mały, składany scyzoryk z wieloma ostrzami.

Poznała go od razu. Tym samym scyzorykiem Leszczuk obierał wczoraj po obiedzie jabłko.

– Aha!

Momentalnie odwróciła wzrok i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że umyślnie to robi, aby nie powiedzieć Choławickiemu, czyj to jest scyzoryk. Nie, tego już było za dużo!

– Ja wiem czyje to jest – powiedziała na przekór sobie samej, wściekła. – To scyzoryk Leszczuka.

Rzucił się.

– Co ty mówisz?! Na pewno to jego własność?

– Przynajmniej on ma identyczny.

– W takim razie, to jeszcze gorzej, niż myślałem.

Uśmiechnęła się:

– Czy nie przesadzasz? – zapytała drwiąco.

Była przygotowana na nową scenę zazdrości i nawet chciała ją sprowokować – ale Choławicki ku jej wielkiemu zdziwieniu mruknął tylko:

– Nic nie rozumiesz. Chodź ze mną.

Powiodł ją przez te same sale, w których byli niedawno, ale nie dochodząc do pokoju księcia skręcił na prawo w boczną galerię. Była to galeria długa a przede wszystkim wysoka – dostrzegła na sklepieniu w wątlym świetle latarki ślady jakiejś spelzłej malatury. Potykając się o dziury w kamiennej podłodze, przeszli przez mały krużganek, a stamtąd skręcili na lewo i otworzył kluczem ciężkie dębowe drzwi.

Mają owionęła duszność, a Choławicki nacisnął guzik latarki.

– Spójrz – rzekł.

Wielka sklepiona sala wsparta na jednej kolumnie pośrodku, robiła wrażenie przepelnionej, do tego stopnia jej umeblowanie kontrastowało z opuszczeniem tego, co dotąd widziała. Wzdłuż sklepienia biegł szeroki fryz, miejscami zatarty, przedstawiający sceny wojenne. Ściany pokryte były makatami, a dwa wielkie perskie dywany, zszarzałe od kurzu zaścierały podłogę.

Pod ścianami stały ciężkie, renesansowe szafy i rzeźbione skrzynie, również pokryte kurzem, jak gdyby nie dotykane ręką ludzką od stu lat. Kilka niewielkich obrazów starej szkoły dopełniało całości, która zresztą nie wywierała wrażenia żadnego luksusu, raczej – przejmującej melancholii zbiorowiska rzeczy opuszczonych.

– Cóż z tego? – spytała, spoglądając na rzeźbione herby nad kominkiem.

– To z tego – odparł – że jeżeli morduję się tutaj już dwa lata, to tylko dla tych przeklętych gratów! Nie mówiłem ci dotąd o tym, bo i po

co. Dobra mysłoc-kie rzeczywiście są zrujnowane. Sam diabeł z nich nic nie wydusi. Ale, albo się myślę grubo, albo w tych ruchomościach tkwią miliony – miliony, powiadam ci!

– To miałyby być warte miliony? – wydeła wargi. – Czy aby na pewno?

– Otóż to, że nie jestem pewny! – wybuchnął. – Nic się na tym nie znam, a trzeba być wytrawnym znawcą, ażeby ocenić choćby w przybliżeniu wartość takiego, na przykład, obrazka. To są na pewno autentyczne antyki, te meble stoją tu ze dwieście lat. Ale czy są warte kilkadziesiąt tysięcy, czy kilkanaście milionów, nie umiałbym powiedzieć.

– Kilkanaście milionów?!

– Tak! Przynajmniej tak można wnosić z pewnych poszlak. Taka legenda krąży po zamku. Kiedyś Grzegorz, ten kamerdyner, pamiętający jeszcze ojca dzisiejszego księcia powiedział mi coś w tym rodzaju. Powiedział, że książe, zanim zwariował, chciał wywieźć za granicę kilka obrazów, aby oczyścić hipotekę z długów. Znalazłem też o tym wzmiankę w listach, pozostawionych przez księcia – wzmiankę dość mętną, ale zawsze wzmiankę. I wreszcie mój staruszek także odnosi się do tych sprzętów dziwnie – powiedziałbym, filuternie, jakby taił przede mną ich wartość. To jest taka złośliwość wariata. Mówię ci, że mam poważne podstawy do mniemania, że wszystkie folwarki mysłockie razem wzięte nic starczyłyby na kupno tej sali. A takich sal jest osiem.

– Dlaczego nie sprowadzisz jakiego znawcy? – spytała oszołomiona dziewczyna.

– Nie głupim! Sprowadzać handlarza po to, żeby wypaplał. Na drugi dzień cała prasa w Polsce głosiłaby, że na zamku mysłockim odkryto skarby. Rzuciliby się wierzyciele, dalsza rodzina, słowem wszyscy, którzy teraz dają mi spokój. Ba! Ja prowadzę za delikatną grę, aby sobie pozwolić na taką sensację. Nieraz już myślałem, żeby zawieźć jeden z tych obrazów do Warszawy i dać do oceny. Ale gdybym przypadkiem trafił na obraz za dobry, na dzieło jakiego słynnego mistrza, znów byłaby sensacja i nie mógłbym być pewny niczyjej dyskrekcji. A sam rozeznąć się w tych obrazach zupełnie nie potrafię! Nie mogę zdawać się na łaskę i niełaskę handlarzy i specjalistów, zbyt dobrze wiem, że oni nie liczą się z niczym. Jeśli uda się im zwęszyć towar i to jaki towar! Wolę być ostrożny! Wolę zabrać się do oszacowania tych rzeczy dopiero, gdy będę ich panem i właścicielem!

Głos mu drżał. Pojęła, jaki gwałt musiał sobie zadawać, obcując codziennie z tymi przedmiotami i przez tyle czasu powstrzymując się przez ostrożność od wyjaśnień tych wątpliwości. Dotknął końcami palców jednego z płócien.

– Nie, nie, to musi być cenne – szepnął – musi być! Ile? Jak myślisz? Może akurat ten obrazek – dwieście, trzysta tysięcy? A ten dywan?

Pomślała, że gdyby dowiedział się nagle, iż to bezwartościowe kopie, zwariowałby niechybnie. Ze zgrozą dostrzegła jego bladość.

Coraz bardziej zaczynała bać się narzeczonego. Jakże inaczej wyglądał w Po-lyće – i tu, na zamku. Przestraszyła się tego, co mówił. Cała ta sprawa również wyglądała zupełnie inaczej, niż dotąd myślała. Nie chodziło o folwarki, ale o meble.

– Dlaczego mi o tym nic nie mówiłeś nigdy? – zapytała.

– Nie chciałem cię wtajemniczać. Im mniej osób wie, tym lepiej! Jeżeli teraz ci mówię, to ponieważ na tobie jednej mogę polegać, a czuję, że sam nie dam rady!

Czy zdajesz sobie sprawę, co oznacza dla mnie nocna wizyta tego chłopaka! – wybuchnął. – Zwłaszcza, gdy ten profesor siedzi u was!

– Profesor?!

– Właśnie! Przecież to znawca, historyk sztuki. Czy przypuszczasz, że on przyjechał do was ot tak sobie – na willegiaturę? Nie, prawdopodobnie coś zwęszył. On już zgłaszał się do mnie, że chciałby obejrzeć zamek.

Zamknął starannie drzwi. Spojrzała przez okno i przystanęła: dziedziniec zamkowy, okolony pajęczyną krużganków w połowie zrujnowanych, w świetle księżycy wydawał się snem. Zaczynała wierzyć w skarby.

Ale Cholawicki szarpnął ją gwałtownie.

– Chodźmy! – syknął.

Wrócili do jego pokoju.

– Musisz mi pomóc! Pamiętaj, że to nie tylko moja sprawa! To jest sprawa naszej przyszłości!

– O co ci chodzi?

– Musisz się dowiedzieć, czy Skoliński domyśla się czegoś? Czy to na pewno był Leszczuk? Jeżeli on, to w jakich zamiarach przyszedł, a przede wszystkim czy nie działał z inspiracji Skolińskiego. To

najważniejsze! Rób jak chcesz, bylebyś się dowiedziała! Ten chłopak ci powie!

– Dlaczego miałby mi powiedzieć?

– Tobie łatwiej będzie porozumieć się z nim, niż mnie – mruknął, a spojrzenie które na nią rzucił dopowiadało istotny sens jego słów. Ach tak, przecież by – Ja podobna!

Zapytała drwiąco:

– Nie jesteś już zazdrosny?

– To są głupstwa! – wybuchnął. – Przestań się droczyć! Nie jestem do tego usposobiony. Nikt inny prócz ciebie, tego nie zrobi. Musisz wyciągnąć z niego umystko, co się da... – Nie chcę!

– Co? Co? Nie chcesz? Dlaczego? Nawet tego drobiazgu nie chcesz mi zała-ić?! Ja mam wszystko sam robić. Dlaczego nie chcesz?!

– Nie chcę!

Odwróciła się, żeby nie mógł widzieć jej twarzy. Myśl o tym, że ona byłaby uszona zbliżyć się do Leszczuka i naciągać go na zwierzenia, była jej w naj wyż-ym stopniu wstrętą. Wdawać się z nim w jakieś konszachty?

– Nie wymagaj tego ode mnie! – powiedziała cicho.

– Dlaczego?

– Chyba rozumiesz, że po tym coś mi powiedział wczoraj nie chcę rozmawiać z nim, zwłaszcza w tych sprawach i w taki sposób!

– Czyś oszalała! Ty liczysz się z takim Leszczukiem! Dla ciebie to powinno być zero powietrze! Gdyby on naprawdę był dla ciebie niczym, to byś się nie wstydziła, choćby cały świat ci mówił, że jesteś do niego podobna! Co cię to obchodzi!

– Dobrze. Pomówię.

– Tylko sprytnie!

– Postaram się – sprytnie.

– I ostrożnie, żeby mu niczego nie podsunąć.

– Postaram się ostrożnie...

– Przyjdź tutaj jutro o tej samej porze. Jak będziemy wiedzieli coś konkretnego, zastanowimy się, co dalej robić.

– Nie wiem, czy do jutra dowiem się czego.

– W każdym razie przyjdź! To okropna rzecz, że ja jestem tutaj, jak w więzieniu.

Jerzy Szaniawski

«MATKA»

Pokój leśniczego, o dużym oknie, za którym widać obficie osnieżone drzewa lasu. Pokój ten służy za jadalnię: kredens, stół – i za gabinet: biurko, trochę książek. Jest także żółte, staroświeckie nieco pianino. Dubeltówka na ścianie. Na biurku dwie fotografie. Zegar ścienny. Staroświecki telefon, przyczepiony do ściany. Dzień. Słońce. Przy stole siedzi Matka, kobieta starsza, surowa, poważna, niemal męska. Łuszczy groch, przy niej miska i sito. – Dzwonek przy sankach – widocznie ktoś jedzie. Matka nasłuchując wstaje–patrzy przez okno. Po chwili zjawia się Pani. Piękny płaszcz futrzany, pod płaszczem barwna podróżna bluza. Pani jest efektowna, wesola.

PANI

Dzień dobry! .

MATKA *dość ponuro, nieufnie*

Dzień dobry.

PANI *wesoło*

Przepraszam za najazd. Pani tu jest gospodynią? Czy jest jeszcze ktoś w tym domu?

MATKA

A pani właściwie do kogo ?

PANI

No, „właściwie” nie wiem, do kogo. Chciałam prosić pana domu czy panią domu o krótką gościnę, no i coś do zjedzenia.

MATKA

Ja tu jestem sama. Zięć pojechał do tartaku, córki także nie ma w domu. Zresztą ja tu *rzqdzę*.

PANI

Ach, tak? Pani pewno jest zdziwiona, skąd się tu wzięłam.

MATKA

No, widzę, że pani nietutejsza. Nie z lasu i nie ze wsi.

PANI

Więc muszę pani opowiedzieć, skąd pani ma takiego nieproszonego gościa: jestem podróżną z pociągu. Pociąg stanął na tej stacyjce w lesie i nie może iść dalej – taki śnieg.

MATKA

Tak, nawaliło śniegu przez tę noc.

PANI

Naczelnik tej stacyjki powiedział mi, że zanim odkopią całą linię, będziemy stali cztery albo sześć godzin. I – wie pani – zanim zdążyłam pomyśleć o swojej smutnej doli, podróżni wykupili dosłownie wszystko, co było na tej stacyjce do zjedzenia. Wagonu restauracyjnego nie ma. Co robić? Ten człowiek, który mnie tu przywiózł, powiedział, że jest niedaleko leśniczówka, może tam coś znajdę. A więc przyjechałam. Jeżeli pani miałaby coś gorącego, to dobrze, jeżeli nie, to może zechce mi pani sprzedać trochę jakiejś wędliny, kawałek chleba – i przygoda nie będzie taka straszna. Przejechałam się sankami, las śliczny, tu przemiło – wszystko dobrze!

MATKA *surowo, bez uprzejmości, „rzeczowo”*

Nie sprzedam, bo tu sklepu nie ma. Niech się pani rozbierze i siada. Obiad dopiero co wstawiony na kuchnię, więc zaraz nie będzie. Ale tymczasem znajdzie się coś zimnego.

PANI *zrzuciła futro – siada*

Serdecznie pani dziękuję. Cośkolwiek. Proszę tylko nie robić sobie żadnego kłopotu.

MATKA *jak wyżej*

Nie będzie żadnego kłopotu.

PANI *uprzejmość każe jej prowadzić konwersację, więc mówi.*

Chyba córka pani miała coś ważnego, żeby na taki śnieg wyjechać z domu. Droga taka ciężka, że ledwieśmy tu dojechali.

MATKA

Ano, śnieg nie śnieg, deszcz nie deszcz, córka musi być w szkole.

Kraje szynkę, wyjmuje z kredensu słoik z grzybkami, poprawiła uchyloną serwetę na srole itp.

PANI

W szkole?

MATKA
Jest nauczycielką w szkole.
PANI
To tu w lesie jest szkoła?
MATKA
Ano, mieszkają tu ludzie w lesie, jest tartak, jest i szkoła.
PANI
Ach, pani mi tyle kraje tej szynki, nie zjem!
MATKA
Czemu nie ma pani zjeść. Niech pani je na zdrowie.
PANI
Dziękuję. O, już widzę, że doskonała, „swojej roboty”.
MATKA
Pewno, że się u nas takich rzeczy nie kupuje.
PANI
Pyszne śniadanie. Co za chleb! Więc mówi pani, że córka jest nauczycielką...
MATKA
Jeszcze jest. Ale niedługo już się to nauczycielstwo skończy.
PANI
Tak? Dlaczego? Ach, co za chleb! A te rydzyki... delicia!
MATKA
Ano, dostała męża, co jest na posadzie, niedługo sama będzie miała dziecko.
PANI
Dziecko? O, to pani musi się cieszyć. Dom się zaraz ożywi.
MATKA *siada nieco dalej*
A pani zamężna?
PANI
Tak, od paru lat.
MATKA
Dzieci pani nie ma.
PANI
Nie mam. Ale skąd pani wie, że nie mam?
MATKA
Wy tam w miastach wolicie się łajdaczyć niż mieć dzieci.
PANI *ubazewna i nie urażona*

Ha, ha. Pani mocno się wyraża.
MATKA
U nas tego nie ma. Mąż, żona – to i dzieci.
PANI
E, proszę pani, nie dlatego nie mam, że jestem z miasta
i chcę się, jak to pani powiedziała – bawić czy coś w tym rodzaju, tylko że... no, po prostu nie mam. *(po chwili)* Dziękuję pani serdecznie za doskonałe śniadanie, i czy me zaszkodzi pani, że wypalę papierosa?
MATKA
A niech pani pali. Mnie to nie przeszkadza. Nieboszczyk mąż mój kurzył, że aż pułap w izbie czerniał – jestem przyzwyczajona.
PANI
A, to pani wdowa.
MATKA
Pewno, że jak tu jestem u zięcia, a nie w swojej chałupie – tom wdowa. Już cztery lata.
PANI
Mąż długo chorował?
MATKA
Krótko. Zabili go i koniec.
PANI
Co pani mówi? Kto zabił?
MATKA
Był gajowym. Wiadomo, kto: ci, co kradną drzewo.
PANI
To straszne.
MATKA
Ano... tutaj to rzecz zwyczajna.
PANI
Wyobrazam sobie, co pani musiała wtedy przeżyć.
MATKA
Przeżyłam i żyję. Dostałam ze skarbu zapomogę. Wyedukowałam córkę. Żal i płacz nie pomoże. Musiałabym oczy wypłakać, a oczy matki były potrzebne. I teraz jeszcze potrzebne, *(po chwili)* Cóż... jeden umiera, drugi się rodzi...

PANI *po chwili zamyślenia*

Tak... *(po krótkiej chwili)* Widzę tu pianino. To pani córka grywa?

MATKA

Nie, zięć tam czasami.

PANI

Pani pozwoli, że spróbuję... *(otwiera)* O, pianino Erarda...

Wie pani, to ciekawe... – W Polsce bardzo rzadko można znaleźć instrument Erarda. I to w lesie...

MATKA

Ja się na tym nie znam. Czy to Erarda czy Edwarda...

Przywiózł to z sobą, postawił i stoi.

PANI *w zamyśleniu*

Tylko raz w jednym domu... grałam na takim pianinie... *(po chwili zaczyna grać. Przerzywa)* Ach, mój papieros... Szukam, czy nie ma tu jakiejś popielniczki. – O, widzę tam na biurku, pod fotografią...

Matka chce wstać.

Niech się pani nie trudzi, podejdę... *(chwila ciszy. Potem ze zdziwieniem, niemal z przerażeniem)* Kto to jest na tej fotografii?

MATKA

Mój zięć.

PANI

Pani zięć?

MATKA

A tam jego żona.

PANI

Jak się nazywa zięć pani?

MATKA

Jak się nazywa? Łaniewski się nazywa.

PANI

Tomek Łaniewski?!

MATKA

„Tomek” ? No tak – Tomek. Tomasz Łaniewski. *(pauza)*

Pani go zna?

PANI

Skąd się on tutaj wziął? Jest leśnikiem? Przecież on... przecież on chodził na prawo.

MATKA

A kto go wie, czego się on tam uczył. Ale uczył się i leśnictwa. Nie mógłby dostać takiej posady. Tak, coś kiedyś opowiadał, że miał być adwokatem, potem mu się coś odmieniło... Czy ja wiem... Niedużo mnie tam jego szkoły obchodzą.

PANI

Więc on jest tu... To żona...

MATKA

Poznała go pani. Teraz i ja panią poznaję.

PANI

Pani mnie poznaje? Jestem w tych stronach pierwszy raz.

(po chwili) Nie, mnie pani nie zna.

MATKA

A jednak znam.

PANI

Skąd? Nie rozumiem.

MATKA

Ano... wie pani, ja nawet nie jestem taka, co to lubi zajrzeć i zobaczyć, wiele kto ma koszul w skrzyni albo co kto w swoim garnku zagotował. Ale raz... kiedy tu sprzątałam, szuflada w tym biurku była trochę wysunięta, no i... co tu gadać – baba babą zostanie, ciekawości nie przemoże – zajrzałam.

PANI

I co tam pani znalazła?

MATKA

Ano... była tam fotografia pani.

PANI

Tak? Moja fotografia?

MATKA

Pani. Ja już mam takie oczy, że jak patrzą na kogoś, to zapamiętają. Dwadzieścia lat przejdzie, a ja go poznam. Cóż... pretensji o to nie mam. Był kawalerem. Zresztą co to z niego byłby za chłop, żeby tam przed

Sakramentem – jednej-dru-giej dziewczki nie miał.

Dzwonek telefonu. Matka podchodzi do telefonu.

A co tam? (*po chwili*) O pierwszej? To dziś wcześniej? (*po chwili*) Razem przyjedziecie? że co?... Dzieci dziś do szkoły nie przyszły? No pewno, że na taki śnieg... No to dobrze. Obiad może być i wcześniej... (*wiesza shtchaiukc. Do Pani*) Już zaraz pierwsza. Zięć telefonował z tartaku, że przyjedzie z córką na pierwszą. Bo dzieci do szkoły nie przyszły i córka dziś wolna – więc wcześniej. Już zaraz pierwsza.

PANI

Tak... To zaraz tu przyjdą?

MATKA

Proszę pani... jak by tu powiedzieć? – Ja już w swoim życiu niejednego podróżnego w dom przyjąłem, niejednego nakarmiłem... i... nigdy go nie wypraszałem. Ja pani nie wypraszam, ale...

PANI

Ale co?

Milczenie.

Tak. Rozumiem. Pani teraz mnie wyprasza.

Milczenie.

Dlaczego ?

MATKA

A pani chce tu jeszcze zostać?

PANI

Hm... (*zamysła się*) Chciałabym go zobaczyć. Pierwszy i może ostatni raz jestem w tych stronach – znalazłam się wypadkiem w jego domu. Pani przyzna, że to nie jest taki zwykły wypadek.

MATKA

E, lepiej, żeby tu pani nie została, (*po chwili*) Bo to, widzi pani, moja córka jest sobie... jak ta szara pliszka... a pani przy niej jak ta – papuga.

PANI *trochę urażona, trochę rozdrażniona, odpowiada nieco wyniośle i ironicznie*

Może chciała pani powiedzieć – jak „rajski ptak”.

MATKA

Rajski czy inny – dla mnie to wsio – papuga.

PANI

Boi się pani, że bym go stąd nie porwała?

MATKA

Nie. Tego się nie boję. Ja tu czuwam i krzywdy mojemu dziecku zrobić nie pozwolę.

PANI

Więc o co pani chodzi?

MATKA

Pomyślała pani teraz – o co ci chodzi, stara więdźmo?

PANI *niemal z przestraczem i zdziwieniem*

Ja tak pomyślałam?... Skąd?... Skąd pani wie? Bo...

rzeczywiście ja tak pomyślałam.

MATKA

Wiem. Nazywają mnie tutaj starą więdźmą. Chociaż mleka krowom nie odbieram. Lubczyków nie lubczyków ludziom nie zadaję. Tylko – może dlatego, że jak spojrzę – to dużo wiem. Myśli nawet cudze znam.

PANI

Może pani wie czasami za dużo. Więcej, niż jest naprawdę. Choćby tutaj... On ma żonę, ja mam męża. Mąż mój jest posłem w dalekim kraju. Pojadę do męża, tam daleko... w tych stronach pewno nigdy w życiu nie będę... Mówię pani otwarcie, szczerze, chciałabym go choć na chwilę zobaczyć, a potem...

MATKA

Ja pani też powiem prawdę, jak myślę: nie trzeba, żeby widział panią. Nie trzeba. Bo to jest taki człowiek, co za dużo patrzy przez okno...

PANI

Patrzy przez okno? Nie rozumiem.

MATKA

Ja pani wytłumaczę. Wiadomo: każdy wyjrzy przez okno. Pies zaszczeka – to się patrzy. Ktoś nadjeżdża – to się Patrzy. Ściemni się, bo burza nadchodzi – człowiek podejdzie do okna, zobaczy i – dosyć. Ale on... On czasem potrafi stać długo przed oknem i patrzeć na drogę. Umie patrzeć jakby poza ten las... I nie słyszy nawet wtedy, co do niego mówią... jak ten głuszec. Można powiedzieć wtedy, że obiad podany, on – nie słyszy – patrzy. Jakby poza ten las... Jest leśnikiem... w papierach mu napisali, że jest leśnikiem. Ale on nie jest stąd, z lasu. Chwali sobie nawet życie w lesie, mówi, że las jest „piękny”, że las „uspokaja”. My,

tutejsi, tak nie mówimy, że las jest „piękny”, że las „uspokaja”. Las – to las...

PANI

Myśli pani, że kiedy tak patrzy przez okno – to chciałby czegoś innego, niż jest tutaj ?

MATKA

Tak myślę. Niewiele by mnie obchodziło, co on by tam chciał, gdyby nie córka i dziecko. Tu będzie musiał patrzeć coraz więcej, tu, na środek izby, a nie tam, na drogę, (*po chwili*) Niech pani jedzie do tych swoich dalekich krajów. Mówię pani, lepiej będzie, gdy go pani nie zobaczy. Może lepiej i dla pani. Bo może i pani zacznie tam w dalekich krajach... patrzeć przez okno. Może tu, w stronę naszego lasu. A to nic z tego. Ja tu czuвам, (*po chwili*) Już pierwsza.

Uderzenie zegara.

PANI *więcej do siebie, s cicha, w zadumie*

Więc mam odejść? Ano... może pani ma rację... Żegnam panią.

Podala rękę Matce. Wychodzi. Matka odprowadza ją do progu. Stoi w drzwiach, podchodzi do okna, patrzy. Słuchać dzwonek coraz cichszy.

MATKA

Pojechała...

Znów dzwonki przy uprzęży, inne w tonie, zbliżające się, coraz głośniejsze, sanie stanęły. Matka uprzątnęła nakrycie dla gościa. Po chwili wchodzi Leśniczy z żoną.

LEŚNICZY

Wiedziałem, że ktoś stąd odjeżdżał.

CÓRKA

Tak, widzieliśmy sanki. Był tu kto?

MATKA

A była tu jakaś...

LEŚNICZY

Do nas ktoś przyjeżdżał?

MATKA *opryskliwie, udając pilne zajęcie gospodarskie*

Jakaś tam lafirynda z miasta za jedzeniem. Czy ja wiem, co za jedna!

LEŚNICZY

Za jedzeniem?

MATKA *jak wyżej*

Pociąg nie może iść dalej, czy coś takiego, i przyniosło ją aż tutaj, żeby coś zjeść.

CÓRKA

Jak to, z pociągu aż tutaj...

MATKA

A nie zwracaj mi głowy, czy ja wiem? Mówiła, że spadł taki śnieg, że kolej zasypało – muszą stać parę godzin, na stacji nie było jedzenia, więc ktoś jej poradził, żeby tutaj. – Przyjechała, dałam jej, co mogłam, podziękowała i pojechała. Co ja wam więcej powiem?

LEŚNICZY

Tak, wiem, że tu jakiś pociąg stanął. Telefonowali do mnie, żeby przysłał ludzi do oczyszczenia toru. (*do żony*) Wiesz co? Jak zjemy obiad, możemy pojechać na stację zobaczyć.

CÓRKA

Dobrze.

MATKA

Dzieci jesteście czy co? Na co patrzeć? Maszyna i parę wagonów. Zagwiżdże i pojedzie dalej. Jest na co patrzeć! Tylko chyba po to jechać, żeby konie zmordować na takiej nie przetartej drodze.

LEŚNICZY

Rzeczywiście, droga ciężka.

CÓRKA

Tak tu łacinie pachnie – pewno perfumy... Czujesz?

LEŚNICZY *zamyślony*

Tak, czuję...

CÓRKA

I pewnie paliła papierosy...

MATKA

A paliła, paliła. Nakryte: możecie już siadać.

LEŚNICZY

Zdaje się, że pianino byio zamknięte. Teraz otwarte. Może ta pani grała?...

Jakby bezwiednie uderza z cicha parę akordów słyszanych
już w grze gościa.

CÓRKA

Mamo, czy ta pani grała?

MATKA

Grała.

LEŚNICZY *przestał trącać klawisze*

Czy ta pani była młoda, stara?

MATKA

Ja jej tam w zęby nie patrzałam. Siadajcie! Zaraz przynoszę
zupę. *Idzie do kuchni.*

CÓRKA

Słuchaj... Czemuś tak posmutniał?

LEŚNICZY

No, wybacz... twoja matka... Twoja matka to zacna i mądra
kobieta, szanuję ją, wiesz, że ją szanuję – ale czasem jak coś
powie. No choćby teraz: „w zęby nie patrzała”, to może
człowieka... *(szybko przeszedłszy się po pokoju przystanął)* Co,
płaczesz? *(podchodzi do niej)* No... czemu? Nie płacz, ja tylko
tak... uniosłem się na chwilę, już przeszło...

CÓRKA

Ja wiem, że ci z nami ciężko...

LEŚNICZY

Ale... co też mówisz... Dlaczego? No nie płacz... Widzisz,
będziesz miała dziecko, kobieta nie powinna się teraz martwić...
Powinna być uśmiechnięta, wesoła, nieraz czytałaś, że powinna
patrzeć na rzeczy piękne – patrz, jaki piękny jest teraz las. Podejdź
do okna. *(podchodzi sam – mówi w zamyśleniu)* Widzisz – śnieg na
jodłach, śnieg na sosnach, śnieg na drodze, wszędzie śnieg...

Cisza.

MATKA *wychodzi z kuchni z wazą*

Obiad! *(po chwili)* Nie słyszy, *(po raz pierwszy uśmiechnęła
się, nieco zjadliwie, ironicznie)* A patrz sobie, patrz.

KURTYNA

*Za kurtyną skrzypce powtarzają melodię graną na pianinie. Sygnał
„Małego Zwierciadła”. Nowa sztuka:*

Julian Tuwim

ŚWIT

Tu bliźniutko – coś zawołało,
A dalek – odróżowiało.
Nie wie) i co, bo ni to, ni owo,
Na ćwierć ptasio, na trzy ćwierci różowo.

Szeptem przeszło tuż-tuż w sitowiu,
Zaliściło liśćmi w listowiu
I rozniosło się, i frunęło,
I po stawie ogniem huknęło.

W NOCY

Obudzony w środku życia,
jak aptekarz w środku nocy,
patrzę, jeszcze snem nalany,
w twoje oczy natarczywe.

Słucham, jeszcze snem szumiący,
prośby prostej a niezziemskiej,
niebezpiecznej jak recepta
pijanego niedouka.

Jakże można bez pukania,
prosto w serce i tak głośno,
kiedy tutaj same szeptu
suchych ziół i somnilingwy.

A w pokoju, skąd wyszedłem
obudzony w środku życia,
czarny krzyż na wapnie ściany,
Tacyt, zegar i nieszczęście.

Niech już dośnie, niech dośpiewam
tristia noctis taciturnae,

co tik-takiem potakują
starej wierze, księgom starym.

POD GWIAZDAMI

Leopoldowi Zborowskiemu

Mieszkam teraz w białym domu
Z zielonymi żaluzjami,
Z liliowymi glicyniami
Za oknami.

W słońcu grzeję się pod płotem
Albo chodzę po ogrodzie
(Cały ogród – dwa kasztany),
Od kasztanów do altany I z powrotem.

Znam tu mnóstwo głośnych ptaków
I zupełnie nie znam ludzi.
Ptak mnie co dzień świtem budzi,
Oстрыm świstem z mokrych krzaków.

Czuję się tu doskonale.
Jem – niczego, śpię niezgorzej,
Czytam „Lalkę”, świeczkę palę...
Mieszczuch w wiejskim futerale.

Lecz wieczorem, gdy gwiazdami
Bóg na niebie się rozpina
I złotymi ich ćwiekami
Wali w świat, jak kamieniami,
I straszliwie napomina
Krażącymi światłościami:
– Chaos ciemny we mnie wzbiera,
Chwyta mnie w prastary związek,
Pod batogiem spojrzeń bożych
Idę pełnić obowiązek.
Jestem we śnie jak Chimera
Z wilczą mordą i ślepiami,

I nad sobą samym, śpiącym,
Czuwam, wsparty granitowo
O dom biały z glicyniami,
Z zielonymi żaluzjami
Za oknami...

RZEŹ BRZÓZ

Brzozom siekierą żyły otworzę,
Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń,
Lepkim osoczem brzozy ubroczę,
Na rany białe wargami wskoczę.

Zęby chwytliwe w trzony brzóz wbiję,
Ustami chciwie soki wypiję,
Żywcem spod kory wyrwę wargami
Rdzeń umęczony pocałunkami.

Może te leki z żywego drzewa
Słów mnie nauczą, których mi trzeba:
Na chwałę brzozom, na chwałę latu,
Ustom obłądnym, bożemu światu!

BURZA

Błyskawicowe szpady
Strugami blasku na płask.
Krzyżuje się grom i blask,
Tnąc metaliczne kaskady.

I w to igrzysko szpad,
W deszczu skośnego ciosy
Ogród trzęsący się spadł
I krzyczy wniebogłosy.

ZAWIEJA

*Wtedy listopadowe wieczory warszawskie
Wieją wiosną...*

(Z wiersza)

Miłość mnie szuka po mieście,
Miłość w zielonym berecie.
Przepadłem jak kamień w wodę.
Gdzie jestem? Wy może wiecie?

Spod zielonego beretu
Strzępek wichury w złocie:
Ptak nieprzytomny z tęsknoty,
Włosy w porywczym odlocie.

Biega w rumieńcach, zdyszana,
Pośpiechem drząc gorączkowym,
Miłość, zawieja wieczorna,
Miłość w trenczkocie deszczowym.

Z WIERSZY OKRESU DOJRZAŁEGO

Wiatr jej nadażyć nie może
I gończe listy rozwiesza,
Pod naprężonym jej swetrem
Stuka żarliwa depesza.

W barach, kawiarniach, teatrach
Listy i serca zostawia,
Zamieć po mieście kołuje,
Róże spod bruku wykrwawia.

Zrywam je, moja nieznana,
Cię pochylony bólem:
Czerwone blaski z kałuży
Ocfeyma podnoszę czule.

CIEMNE NIEBO

Jak łatwo obezdomnieć
I zostać bez gwiazd nad głową!
Jak trudno, jak trudno zapomnieć
Rodzimą głąb diamentową!

Jak łatwo szczęśliwym wzlotem
W niebo miłości uderzyć!
Jak trudno, jak trudno potem
W oczy ci spojrzeć – i wierzyć.

Po wielkim, bezgwiezdny niebie
Dokąd i pokąd mi płynąć?
Jak łatwo, jak słodko było
Za ciebie zginąć!...

WIECH

CAFE „POD MINOGA”

ROZDZIAŁ I

*zawierający genezę tytułu całej opowieści
i szczegółowy opis przygotowań do wro-
czystości rodzinnej w restauracji państwu
Aniolków*

Myliłby się, kto by przypuszczał, że na szyldzie wymienionego w tytule niniejszej opowieści zakładu gastronomicznego przy ulicy Zapiecek widniała dorodna minoga na przybranym zieloną pietruszeczką półmisku. Nic podobnego. Szyld wyglądał banalnie. Na czerwono pomalowanej blasze umieszczony był napis, tchnący powagą urzędowego niemal dokumentu:

RESTAURACJA
III kategorii z wyszynkiem
napojów alkoholowych
wł. KONSTANTYN ANIOŁEK
Koncesja Genowefy Rypalskle
i Wawrzyńca Smlecluszki

Surowość głównego, umieszczonego nad wejściem znaku łagodziły dwa szyldy boczne, których treść opiewała:

„*Sniadania, obiady, kolacje*”

oraz

„*Zymne i goronce zakonski*”.

Wszystkie trzy godła były dziełem powszechnie cenionego na Starówce mistrza sztuki malarskiej, pana Dawida Kapelana (Bonifraterska 18).

Część graficzną reklamy firmy uzupełniały dwie kartki wycięte z brystolu, na których sam pan Aniołek wprawną ręką wypisał: „Pieczeń rzemska” i „Zrazy po nalesońsku z gżypkamy”.

Resztę propagandy załatwiały umieszczone na wystawie oryginały, jako to: lśniący poźłocistą skórką dyszek cielęcy, biała kielbasa garniowana przysmażoną cebulką lub nacięty w misterną, drobniotką kostkę rumiany boczek pieczony, wszystko to podane na efektownym tle słoików z białoczerwoną ćwikłą i zielonożółtymi „małosolnymi” ogórkami. Oczywiście eksponaty zmieniały się odpowiednio do pory roku.

Nie było jednak nigdy w witrynie minóg. Na próżno też szukałyby ich ktoś na bufecie. Interpelowany o nie przez gości gospodarz odpowiadał zazwyczaj: – Minoga robak, nie rybka i w porządnym interesie trzeciej kategorii nie ma prawa figurować.

Stali bywalcy lokalu wiedzieli jednak, że nie zawsze tak bywało, że minogi w musztardzie zajmowały kiedyś honorowe miejsce wśród innych zakąsek. Znali też przyczynę znalezienia się ich na indeksie.

Oto przed kilku laty znany na Starówce alkoholik i awanturnik, niejaki Millerek, pogniewawszy się na lokal za odmowę kredytu, zwrócił się do małżonki właściciela z następującą apostrofą: „Ach, ty minogo z ma-łem łebkiem, za wieczne ondulacje szarpana, ja cię tu zaraz nauczę szaconku dla gościa!” Po czym usiłował przewrócić bufet, co mu się zresztą całkowicie udało.

Obrażeni współbiednicy podnieśli się od stolików, usunęli awanturnika na ulicę, ale orzekli, że:

„Właściwie pani Aniołek nie ma się o co obrażać, bo faktycznie na minogie podobna. Długa, mizerna na urodzie, z małą mordką, tylko z tą różnicą, że nogi posiada, ale za bufetem nie widać”.

Wywołało to nową awanturę zakończoną wezwaniem Pogotowia, ale odtąd lokal, dawniej nazywany „Pod Aniołkiem”, zdobył nową, błyskawicznie zaakceptowaną przez Krzywe Koło, Nowomiejską, Freta i obydwą Dunaje, nie licząc, rzecz prosta, Zapiecka, firmę: „Pod Minogą”.

Pani Serafina Aniołkowa mimo „mizernej urody” obdarzona była przez naturę niezwykle metalicznym, donośnym głosem, którym umiała należycie władać, oraz temperamentem, nad którym nie życzyła sobie zbytnio panować.

Te cechy sprawiały, że pan Konstanty był właścicielem przedsiębiorstwa tylko de nomine, na szyldzie. Twarde rządy w domu i w interesie sprawowała jego małżonka. Powyższy układ stosunków politycznych w restauracji spowodował wykluczenie minóg raz na zawsze z menu zakładu. Oczywiście dopomogło to raczej do utrwalenia wśród klientów nowej nazwy firmy. Pan Aniołek protestował przeciwko tej nomenklaturze dość słabo i tylko kiedy żona słyszała, a i wówczas pozwalał sobie na lekkie przymrużenie oka.

Uspodobienie miał bowiem jowialne i filozoficzne skłonności, na co w niemalym prawdopodobnie stopniu wpływała waga własna – około 120 kilogramów. Sympatyczna, rumiana jego twarz, ozdobiona staropolskim blond wąsem, zdradzała wielką zyczliwość dla bliźnich.

Lekko fiołkowy koniec nosa świadczył o żywym interesowaniu się swego właściciela produkcją wszelkiego typu zakładów rektyfikacyjnych.

Gościnnie był pan Konstanty również bardzo. Kiedyś, korzystając z nieobecności żony, która wybrała się do Gdyni na Święto Morza, sympatyczny restaurator, wypiszący jako środek zapobiegawczy przeciwko tęsknocie litr czystej wyborowej, wprowadził w barze ciekawą innowację w postaci bezpłatnej konsumpcji dla wszystkich chętnych.

Cafe „Pod Minogą” przeżyła wówczas okres najwspanialszego swego rozkwitu. Dzień i noc wszystkie stoliki były zajęte. Za obłożonym

bufetem królował rozpromieniony pan Aniołek, rozdając na wszystkie strony potrawy i napoje.

Niestety okres ten trwał bardzo krótko. Gdy po trzech dniach pani Serafina wróciła do baru, nie zastała ani jednej pełnej butelki, ani cienia zakąski.

Na środku sklepu w srebrzystej trumnie, obstawiony u wezglowia zdjętymi z bufetu sztucznymi palmami, spoczywał jej małżonek, obok w trumnie znacznie skromniejszej chrapał pan Celestym Konfiteor, właściciel sąsiadującego z barem zakładu pogrzebowego.

Jak się odbyło przebudzenie, nie lubi pan Aniołek mówić, faktem jest, że od tej pory pani Serafina nigdzie już nigdy nie wyjeżdżała ku żalowi uczestników pamiętnego dnia Święta Morza „Pod Minogą”.

Pan Konstanty nie lubił mówić o owym przebudzeniu, tym niemniej wspomnienie tego święta hołubił w duszy jako jeden z najbardziej świetlanych obrazów przeszłości.

Dziś, siedząc przy stoliku pod oknem z sąsiadem żalobnikiem, szczególnie żywo przypominał sobie historię z tamtych przepięknych, choć krótkich chwil, dziś bowiem właśnie w lokalu restauracji po zamknięciu odbyć się miało również bezpłatne przyjęcie towarzyskie, tym razem jednak zaaprobowane przez panią Serafinę. Były to zaręczyny ich wychowawcy, a zarazem kelnerki zakładu, panny Sabci. Na uroczystość zaproszeni byli liczni goście spośród przyjaciół i stałych bywalców.

Bolesław Leśmian

W MALINOWYM CHRUSŃIAKU

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałas na oślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszyl kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Duszo było od malin, któreś, szepcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśczęoty Tej pierwszej, tej
zdziwionej, która w całym niebie Nie zna innych upojeń,
oprócz samej siebie, I chce się wciąż powtarzać dla własnej
dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którym okamgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie - oddałaś w skupieniu,
A chruśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

ODJAZD

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem,
Patrzyły na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.
Był klomb i rój motyli i błękit przezroczy,
I rdzawienie się w słońcu dojrzałej rezedy.

A gdy byłem już w drodze, sam nie wiedząc kiedy
I czemu - przypomniałem te oczy, przyziemnie
Śledzące mą zadumę i wpatrzone we mnie
Tym wszystkim, czym się można wpatrzeć w świat i dalej.
Co widziały te oczy, nim w tysiącu alej
Zginałem, jedną chatę rzucając za sobą?
I czemu z szafirową zawczasu żalobą
Patrzyły w ten mój odjazd poprzez zieleń rdzawą
Rezedy, co pachniała, przytłumiona trawą?
I dlaczego te oczy były coraz łzawsze?
Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze
I zostawiać samopas kędyś - na uboczu?
Czy nie wolno odjeżdżać znajomym gościńcem
I oddalać się zbytnio od tych złotych oczu,
Podkutych dookoła szafirowym sińcem?

Zbigniew Herbert

SIÓDMY ANIOŁ

Siódmy anioł
jest zupełnie inny
nazywa się nawet inaczej
Szemkel

to nie co Gabriel
złocisty
podpora tronu
i baldachim

ani to co Rafael
stroiciel chórów

ani także
Azrael
kierowca planet

geometra nieskończoności
doskonały znawca fizyki teoretycznej

Szemkel
jest czarny i nerwowy
był wielokrotnie karany
za przemyt grzeszników

między otchłanią
a niebem
jego tupot nieustanny

nic nie ceni swojej godności
i utrzymują go w zastępie
tylko ze względu na liczbę siedem

ale nie jest raki jak inni

nie to co hetman zastępów
Michał
cały w łuskach i pióropuszcach

ani to co Azrafael
dekorator świata
opiekun bujnej vegetacji
ze skrzydłami jak dwa dęby szumiące

ani nawet to co
Dedrael
apologeta i kabalista

Szemkel Szemkel
-- sarkają aniołowie
dlaczego nie jesteś doskonały

malarze bizantyńscy
kiedy malują siedmiu o
dttwarzają Szemkela

podobnego do tamtych

sądzą bowiem
że popadliby w herezję
gdyby wymalowali go
takim jak jesi
czarny nerwowy
w starej wyleniającej aureoli

(*Hermes, pies i fwiazita*, 1957)

Miron Białoszewski

18 maja 1970

CYKL „ULIZESY”

Pielęgniarka do pielęgniarki przyszła w zwykłe goście w Otwocku w maju po południu, ta naląła tej, co przyszła, wódki, i sobie, i tak gadały, ja byłem też, nie piłem, dzieci przelatywały, ta dołała tej, co przyszła, znów, a ta, co przyszła, tak opowiadała.

Sedes

Jechały dwie na służbę do Warszawy. W przedziale. Od Otwocka. Z początku nie słuchała. A potem zaczęła słuchać:

– U mnie musi być czysto.
– U mnie też.
– Sedesy muszą być w porządku.
– Ja pilnuję też. Kto wchodzi, wychodzi.
– Wie pani, wchodzi u mnie jeden starszy pan,, w płaszczu, nawet przyzwoity z wyglądu, inteligentny, z paczką w gazecie, prosi o kabinę. I potem siedzi. Siedzi i siedzi. I nie wychodzi. Ja wreszcie pytam go „co pan tak siedzi?” A on, słyszę, coś skrobie i stęka. Mówię „niech pan już nie siedzi, niech pan wyjdzie”. On nic, tylko znów skrobie i stęka. Wołam do niego, on nic, otwieram, patrzę, a on tak stęka i odkręca deskę klozetową. Ja mówię „panie, co pan robi, idę zawołać milicjanta”. To on

mówi „niech pani nie idzie, niech pani mi odstąpi ten sedes za pięćdziesiąt złotych”. Ja mówię, żeby to zostawił i prędko wyszedł, to on mi mówi, że mi zapłaci sto złotych. Nie zgodziłam się. Ja jestem uczciwa.

– No pewnie, i jeszcze co by powiedziała ta druga, jakby przyszła.

– Nie. proszę pani, on chciał mi zostawić, bo miał ze sobą w gazecie, stary sedes, pęknięty i ni" biały, nie drewniany.

– Co pani powie?

-- I niech pani sobie wyobrazi, mówię o tym wszystkim

do Józka, Józiek mówi, że taki drewniany sedes to kosztuje nie pięćdziesiąt, nie sto złotych, ale sto-¹ pięćdziesiąt. I nigdzie nie można go dostać.

Masaż

Pielęgniarka pielęgniarcie. Ta co przyszła. Opowiada.. –
Przychodzi do mnie pan. Elegancki, po czterdziestce,
żeby mu masaż zrobić...

– Do gabinetu?

– Do gabinetu. Masaż to masaż. Chce, no dobrze. Więc rozbiera się. Pokazuje kurteczkę, o proszę, firma na metce, Wiedeń, tyle i tyle. Zdejmuje spodnie, pokazuje, tu takie guziczki, tu to, ze Szwajcarii, za dolary. Rozmowny, ożywiony, ja czekam. Zdjął koszulkę. Amerykańska, sprowadzona za dolary. Został w czerwonych majtkach. Też sprowadzone, też za dolary, naszywka z firmą, proszę, zdejmuję, pokazuje. Nagusieńki, zażywny, fiuteczek tyle o... kładzie się. No, masować. Masuję. Dobrze. Piersi, plecy. Mówi: „Niżej.” Dobrze, niech będzie niżej. Brzuch... to sadelko różowiułkie. Dobrze. Tak. I mówi: „Wie pani, ja od czasów powstania, taki kompleks: może by jeszcze niżej... tam...” „Nie – mówię – niżej... o, nie!” „On czyściutki, wymyty”, mówi. „Nie – mówię – niech pan z tym zgłosi się gdzie indziej.” Widzi, że nie da rady, ubiera się, dziękuje, mówi, że dobrze było, zadowolony, no i wychodząc kładzie mi na biurku dwadzieścia złotych... No coś takiego... po co mi te pieniądze, nie cierpię takich spraw z pieniędzmi. Bo żeby położył sto złotych, bo zadowolony, ale on dwadzieścia. I jeszcze mówi.

Zastrzyk

– Teraz, w tym moim nowym sanatorium – mówi pielęgniarka podejmująca tamtą winem i mnie, dolewa, jej, sobie – panuje moda dawania zastrzyków domięśniowych na leżąco. Wchodzą do gabinetu i kolejno kładą się, no i normalnie, pupą do góry i już. Ale przychodzi ci starszy taki pan, całkiem już starszy, rozpina się i układa się nie pupą do góry, a mniej więcej boczkiem. No to ja się przechyłam do niego i robię mu zastrzyk. Wstaje, zapina się i mówi: „Dzię-

kuję i przepraszam siostrę, jeżeli się za bardzo rozpiąłem i coś tam było widać.” Mówię potem do tamtych, a one: „Oooo... ten... stary, hoo – on znany z-tego...”

Tło eks

– No, ty masz specjalne szczęście.

– Do ekshibicjonistów, tak, pokazało mi się już czterech.

– W różnych miejscach? – pytam.

– No tak. Zaczęło się od tego w Warszawie, kiedy chodziłam na kurs i mieszkałam na Polu Mokotowskim, w baraku, ten to zawsze wieczorem czatował, jak pielęgniarki wracały z miasta. Potem w pociągu do Lublina. Tak, wieczór, w korytarzu pusto, w ogóle mało osób, patrzę, co mi się w szybie odbija, bo facet stał przedtem, przyglądał się, trzymał teczkę i w tej szybie... odsłonił teczkę... no...

– A ty?

– Ja się wróciłam w drzwi przedziału i tak zasuwając drzwi zaczęłam się śmiać... tak .. cho-cho cho--cho! A potem szłam z Ziorkiem koło ogrodnika, ktoś z parteru woła, kiwa ręką, myślałam, że na Ziorka, bo go tu tak w Otwocku znają, a to młody chiopak. między tymi doniczkami kiwa dalej, ja spojrzalam mimo woli na te doniczki, a ten – masz ci los – macha...

– W doniczkach?

– Z tym machaniem, jesteśmy z Jackiem na Śródmieściu, czekamy na brzegu na pociąg, tak już przy tunelu. Za nami tylko młoda dziewczyna czeka, też, stoi oparta i je, taka zamyślona, je, je. a tam za nią w tunelu już facet, zarośnięty, tak przed nią profilem stoi i macha – tak patrzę na nią i myślę sobie: przecież będzie jej głupio, jak zobaczy, ja już się tym

Konstanty Ildefons Gałczyński

ROZMOWA LIRYCZNA

– Powiedz mi, jak mnie kochasz.

– Powiem. – Więc?

– Kocham cię w słońcu. I przy blasku świec.
Kocham cię w kapeluszu i w berecie.
W wielkim wietrze na szosie i na koncercie.
W bzach i w brzozech, i w malinach,
i w klonach.

I gdy śpiesz. I gdy pracujesz skupiona.

I gdy jajko rozłukujesz ładnie –

nawet wtedy, gdy ci łyżka spadnie.

W taksówce. I w samochodzie. Bez wyjątku.

I na końcu ulicy. I na początku.

I gdy włosy grzebieniem rozdzielisz.

W niebezpieczeństwie. I na karuzeli.

W morzu. W górach. W kaloszach. I boso.

Dzisiaj. Wczoraj. I jutro. Dniem i nocą.

I wiosną, kiedy jaskółka przylata.

– A latem jak mnie kochasz?

– Jak treść lata.

– A jesienią, gdy chmurki i humorki?

– Nawet wtedy, gdy gubisz parasolki.

– Zimą kocham cię jak wesoły ogień.

Blisko przy twoim sercu. Koło niego.

A za oknami śnieg. Wrony na śniegu.

Leśniczówka Pranie, 1950

Учебное издание

Морозова Ольга Эдуардовна

**ХРЕСТОМАТИЯ
ПО ПОЛЬСКОЙ ЛИТЕРАТУРЕ**

Компьютерная верстка *О.Н. Якубович*

Подписано в печать 25.05. 2005 г.

Формат 60x84 ¹/₁₆. Печать офсетная. Гарнитура «Таймс».

Усл. печ. л. 6,87. Уч.-изд. л. 3,82. Тираж 200 экз. Заказ № 15.

ООО «БИП-С Плюс». 220004, г. Минск, ул. Короля, 3.

Лицензия №02330/0133476 от 09.02.2005 г.

Размножено на ризографе для внутреннего пользования.